

#393 • WRZESIEŃ 2023



INFORMATOR

GDAŃSKIEGO KLUBU FANTASTYKI

ISSN 1505-8476

YARKOS 2023



NASZ RODZIMY POSZUKIWACZ SKARBÓW

Kiedys, w jakimś czerwcowym wstępniku, pisałem już o polskich autorach powieści młodzieżowych czasów PRL-u. Teraz wróć do tego tematu w nieco innym ujęciu. Powodem jest najnowsza ekranizacja jednej z przygód Pana Samochodzika. Ja akurat nie miałem możliwości (ani chyba też i chęci...) obejrzenia jej. Skupię się tradycyjnie na refleksjach bardziej ogólnych.

Dla młodzieży, przynajmniej tej z „moich czasów”, można było pisać dwojako. Albo nie ukrywając młodzieżowego sztafetu i młodzieżowej konwencji; albo nieco je maskując – wystylizowawszy fabułę i narrację na literaturę „dla dorosłych”. Acz humoru było sporo tu i tu.

Tę pierwszą konwencję stosowali tacy pisarze, jak Hanna Ożogowska (*Głowa na tranzystorach, Dziewczyna i chłopak...*), Adam Bahdaj (*Do przerwy 0:1, Wakacje z duchami, Podróż za jeden uśmiech*), Edmund Niziurski (*Niewiarygodne przygody Marka Piegusa, Klub włóczykijów...*, *Naprzód, Wspaniali!*). Po tę drugą stylistykę sięgali z kolei Alfred Szklarski (cykl podróżniczy o Tomku Wilmowskim; ciekawie zilustrowany przez Józefa Marka), Wiesław Wernic (cykl westernów; z „klimatycznymi” ilustracjami Stanisława Rozwadowskiego), Zbigniew Nienacki (oczywiście cykl o Panu Samochodziku; niestety, nie mający szczęścia do ilustratorów). Także wojenne powieści Kazimierza Dębickiego (*Uwaga, Piegowaty!*; ze świetnymi ilustracjami Grzegorza Rosińskiego) i Wiktor Zawady (trylogia o zamojskich „Kaktusach”; z oryginalnymi ilustracjami Ludwika Paczyńskiego). W nurcie czysto młodzieżowym ciekawa jest pozycja Edmunda Niziurskiego: większość jego utworów ociera się ponadto o swoisty „surrealizm” (np. powieść *Siódme wtajemniczenie*, opowiadanie *Jutro klasówka*), jednak nie stronił on również od szkolnych dylematów moralnych całkiem serio (opowiadania *Lizus czy Równy chłopak* i *Rezus*).

Byłem wiernym czytelnikiem większości tych pisarzy – i o twórczości każdego z nich mógłbym napisać osobny wstępniak. Jednak jesteśmy periodykiem Gdańskiego Klubu Fantastyki, więc tej kategorii winienem się trzymać. Stąd jedynie ów *Pan Samochodzik*. Nie dlatego, by był on związany z fantastyką (ociera się o nią jedynie ostatnia powieść autorskiego cyklu – o przybyszu z przyszłości albo grupie mistrzowskich hipnotyzerów). Powodem jest dołączanie wątków fantastycznych do wielu ekranizacji (gdzie owe wątki i owe ekranizacje są pospołu pożałowania godne) oraz skojarzenia z najnowszą ekranizacją *Templariuszy* – i z ostatnim *Indianą Jonesem*.

„Samochodzikowe” powieści Zbigniewa Nienackiego wypełniały w PRL-u jeszcze jeden brak: „głód” dobrego kryminału. A w „socjalistycznych” realiach było o niego bardzo trudno. Gdyż o czym miał on mówić? Że rury z budowy kradną? Że kucharka w stołówce zrobiła leniwe, a zdefraudowała schab? Oczywiście, kilka dobrych kryminałów też by się znalazło; jednak „realsocjalizm” bardzo ograniczał inwencję twórczą (Gdzie przestępca wyda zdobyte pieniądze? Co za nie kupi? Jak z nimi wyjedzie?). Maciej Słomczyński (jako Joe Alex) swe świetne kryminały dla dorosłych umieszczał w scenerii Wielkiej Brytanii. Zbigniew Nienacki znalazł inną „niszę”: ukradzione lub zaginione dzieła sztuki. A poza tym w jego powieściach naprawdę „się działo”: zaskakujące zagadki, niespodziewane zwroty sytuacji, ciągłe jakaś akcja. Nawet jeśli pozornie „nie działo się nic” (jak w *Nowych przygodach Pana Samochodzika*) – i tak mieliśmy sporo wydarzeń w tle oraz zaskakującą pointę. W późniejszych utworach tempo nieco „siadło” (podobnie jak w westernowych powieściach Wernica), jednak potrafiły nadal czymś zaskoczyć (jak zastraszenie Waldemara Batury w finale bodajże *Pana Samochodzika* i *Niewiedziałnych*).

Pierwsze ekranowe adaptacje (filmowa *Wyspa Złoczyńców*, serialowy *Samochodzik i templariusze*) zachowywały szacunek dla autora. Acz tu może narażę się niektórym, lecz mam do serialu ze Stanisławem Mikulskim odczucia ambiwalentne: to odejście od wiernego oddania wszystkich intryg (jestem dość ortodoksyjnym czytelnikiem) oraz przesunięcie stylistyki w stronę zdecydowanie „młodzieżową” (na wzór Bahdajowskich *Wakacji z duchami*). Późniejszych adaptacji nie widziałem. Ale dotarły do mnie o nich jak najgorsze opinie. Lubię fantastykę – ale w cyklu Nienackiego podobało mi się właśnie „realistyczne” prawdopodobieństwo fabuły (kwestie „komunistycznej propagandy” pomijam; zresztą nie zauważałem jej wtedy). Ponoć im późniejsza ekranizacja – tym większe „cuda-wianki” się dzieją... Zaś „udziwnianie” może tylko zaszkodzić!

Aha: odwołuję się tu tylko do oryginalnego/pierwotnego cyklu autorstwa Nienackiego.

INFORMATOR

GDAŃSKIEGO KLUBU FANTASTYKI



#393 • WRZESIEŃ 2023

UKAZUJE SIĘ OD 1987 ROKU

FANDOM

Urodziny członków

Damian Filipkowski

Coś się kończy, coś się zaczyna...

Aleksandra Markowska

LARP podczas zjazdu

#Nie tylko barbarzyńcy – Marta Kostecka

INFORMACJE

Janusz Piszczek

Zapowiedzi wydawnicze

Artur Łukasiewicz

Filmowisko

Niusy

PROZA

Emilia Mikulska

Morze w naszych żyłach

PUBLICYSTYKA

Adam Cetnerowski

Spiel des Jahres – Top 10, sezon 4. Odcinek 18

Janusz Piszczek

Kolejny Polak w kosmosie (prawdopodobnie)

Grzegorz Szczepaniak

Okruchy Ogana. Korespondencja 144

Karol Ginter

Recenzje Karola

Artur Łukasiewicz

Byłem geekiem w PRL-u...

Leksykon seriali fantastycznych c.d.

Szum tła i wzruszenie ramion...

Michał Bleja

Wszystko już się wydarzyło

Tomasz Magulski

Z lasu do wody

Nieobce niebieskie ludziki

Andrzej Prószyński

Półka z DVD

KOMIKS

Aleksandra Małaj (Olsza), Jan Plata-Przechlewski

Kwestia sylaby

GDAŃSKI KLUB FANTASTYKI

ADRES:

80-395 GDAŃSK

UL. OPOLSKA 2

STRONA:

WWW.GKF.ORG.PL

KONTO BANKOWE:

VOLKSWAGEN BANK

42 21 30 0004 2001 0671 8241 0001

14 **KRS:** 0000098018

18 **„INFORMATOR GKF”**

20 ISSN 1505-8476

WYDAWNICTWO BEZPŁATNE

NAKŁAD 120

REDAKCJA:

22 JAN PLATA-PRZECHELEWSKI

GRZEGORZ SZCZEPANIAK

MARCIN SZKLARSKI

MICHAŁ SZKLARSKI

12 JAROSŁAW S. KOSIOREK (YARKOS)

ARTUR ŁUKASIEWICZ

25

STAŁA WSPÓŁPRACA:

28 ADAM CETNEROWSKI

JANUSZ PISZCZEK

33 ANDRZEJ PRÓSZYŃSKI

TOMASZ MAGULSKI

34 ALEKSANDRA MAŁAJ

40 ADAM MATEJA

44 MARTA KARBOWSKA

DAMIAN FILIPKOWSKI

38

E-MAIL:

INFORMATOR@GKF.ORG.PL

47

OKŁADKA:

JAROSŁAW S. KOSIOREK (YARKOS)

53

DRUK:

PRINT GROUP SP. Z O.O.

HTTP://PRINTGROUP.PL

55

URODZINY

Drodzy październikowi Urodzeńcy!

*Wasze urodziny to już okres pierwszych jesiennych chłódów.
Powinniście zatem dobrze i kalorycznie się odżywiać; sam tort już bowiem nie wystarczy...*

*A – jak twierdzili członkowie pewnego dzielnego plemienia
z pewnego odległego księżycy – mięso to mięso.*

Życzymy Wam więc smacznego!

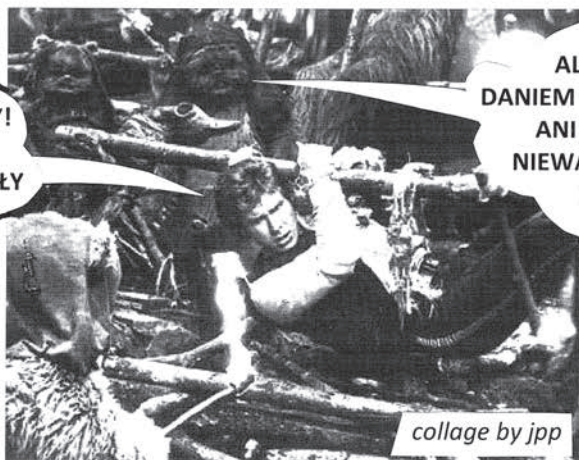
INFOredaktorzy

PAŹDZIERNIK

3 **Andrzej Zimniak**
4 **Edward Kołakowski**
 Jakub Waszak
10 **Marcin Białkowski**
 Rafał Gosieniecki
11 **Kamil Kowalczyk**
12 **Piotr Taczała**

13 **Zuzanna Herman**
 Tomasz Kołodziejczak
19 **Karolina Kaczkowska**
21 **Grzegorz Kozubski**
24 **Paweł Jankowski**
26 **Dorota Nowak**
31 **Krzysztof Chmielewski**

JA WCALE
NIE JESTEM DOBRY!
NAPRAWDĘ!
JESTEM ZGORZKNIAŁY
I SKWASZONY!



ALE NIE JESTEŚ
DANIEM WEGETARIAŃSKIM
ANI WEGAŃSKIM!
NIEWĄTPLIWIE JESTEŚ
MIĘSNY...

rys. Jan Plata-Przechlewski



DAMIAN FILIPKOWSKI

COŚ SIĘ KOŃCZY, COŚ SIĘ ZACZYNA – CZYLI GKF I PRZYJACIELE W SUDOMIU 2023

Już od jakiegoś czasu koniec wakacji kojarzy mi się z niespodziewaną wazektomią. Przychodzi nagle, niesie ze sobą sporo bólu i pozostawia uczucie, że straciło się coś cennego. Nic więc dziwnego, że każdy na swój sposób stara się złagodzić ten ból. Żaden psychoterapeuta Wam tego nie powie, ale cóż może być lepszego na egzystencjalne bolączki niż spalenie jakiejś wioski, wybudowanie najlepszego Zoo na świecie lub wyprawa do El Dorado. Najlepiej zaś spróbować tego wszystkiego po trochu. Rozsmakować się tym w gronie przyjaciół, w pięknych okolicznościach przyrody. Sam fakt, że rabowane włości, egzotyczne zwierzęta i podróż do złotego miasta to tylko (albo aż) gry planszowe – to mały, nieznaczący szczegół.

Dla mnie temu właśnie służą te sierpniowo-wrzesniowe wyjazdy do Sudomiu. Jest to niejaki rytuał przejścia między latem i jesienią. „Coś się kończy, coś się zaczyna” chciałoby się rzec za klasykiem; a dzięki temu, że znowu mogliśmy tam być razem, jakoś łatwiej było mi się z tym pogodzić. Coś też nadal trwa, bo z każdym rokiem coraz więcej fantastycznych ludzi pojawia się nad jeziorem Sudomie. Część z nich przybyła naprawdę z daleka, aby cieszyć się wspólnie spędzonym czasem i złapać w garść ostatnie promienie kończącego się lata.

Mimo kapryśnej pogody, wyjących psów i rojów żądających os – udało nam się godnie pożegnać wakacje. Wspólne planszówki za dnia, wieczorne rozmowy przy ognisku, beztroska i zabawa, których lato jest niejako symbolem, pozostaną z nami na dłużej. Tak samo jak dźwięki i światła niezwykłego koncertu, który odbył się w wiacie. Tak jak tajemnicza sprawa niejakej Alicji A., która już na zawsze pozostanie w kościerskich lasach przykryta darnią i igliwem. Mam nadzieję, że wspomnienia z tego wyjazdu umilą jesienne i zimowe wieczory, które nas czekają i dadzą siłę, by przetrwać. Bye do Nordconu! ■



fot. Damian Filipkowski

LARP PODCZAS ZJAZDU

Podczas tegorocznego Zjazdu GKF w Sudomiu (spotkaliśmy się już po raz siódmy!) mieliśmy okazję wziąć udział w LARP-ie zorganizowanym przez Damiana Filipkowskiego. Klimat LARP-a nie odbiegał od scenerii – mieliśmy za zadanie wcielić się w role uczniów elitarnego gdańskiego liceum, którzy spotykają się ponownie po dwudziestu latach, w ośrodku w Sudomiu. 20 lat wcześniej to samo miejsce było świadkiem tragedii. Jeden z nauczycieli, a zarazem opiekunów wycieczki, zginął w niejasnych okolicznościach. Sprawa ta odcisnęła piętno na klasowej

paczce, a teraz wszyscy z mieszanymi uczuciami (i różnymi celami) pojawiają się na zjeździe. Kolejne wydarzenia powodują, że atmosfera gęstnieje, zaś każdy uczestnik imprezy zaczyna być podejrzany. Nowe fakty wychodzą na jaw, padają kolejne zarzuty, a temperatura emocji sięga zenitu. Jak skończyła się ta historia? Odpowiedź na to pytanie znają jedynie uczestnicy LARP-a. Z całą pewnością mogę jednak stwierdzić, że zabawa była przednia, a podobną opinię mieli też chyba pozostali gracze. Duża w tym zasługa Damiana i Zosi, którzy fantastycznie odgrywali swoje role, ale również przygotowali się bardzo dobrze pod kątem scenografii, makijażu i rekwizytów – dziękujemy! Mamy nadzieję na więcej tego typu wydarzeń w Klubie, nie tylko na spotkaniach wyjazdowych ☺

*Iga Iksińska
(aka Ola Markowska)*

fot. Damian Filipkowski

[tytuł od redakcji INFO]

#NIE TYLKO BARBARZYŃCY

MARTA KOSTECKA

(STOWARZYSZENIE POP-ART, SZCZECIN)

Mogłabyś na początku powiedzieć kilka słów o sobie?

Nazywam się Marta Kostecka, pochodzę z Choszczna. Mieszkam i działam w Szczecinie. Jestem współzałożycielką stowarzyszenia Porozmawiajmy o Popkulturze – Ale Raczej Taktownie POP-ART, które organizuje m.in. Zachodniopomorskie Spotkania z Komiksem i Popkulturą Beton, comiesięczne spotkania klubu dyskusyjnego poświęconego komiksowi i kulturze popularnej oraz wydaje zin komiksowy „Cement”. W ramach stowarzyszenia działa betoniarka.net — portal popkulturowy, na którym jestem redaktorką. Możecie mnie też znaleźć na Instagramie, gdzie piszę o komiksach i nie tylko jako Martwa Kosteczka oraz na YouTube na Kanale Książkowym, na którym rozmawiam z różnymi twórcami i twórczyniami. Od kilku miesięcy prowadzę też newsletter komiksowy KomiksPL. Subiektywny przegląd polskiego komiksowa.

Jak zaczęła się Twoja przygoda z fantastyką i komiksem?

W moim domu rodzinnym zawsze było mnóstwo książek na półkach, do których miałam nieograniczony dostęp, odkąd tylko zaczęłam sama czytać. Oczywiście były też kupowane książeczki specjalnie dla mnie.

Równoległe do książek zaczęłam czytać także komiksy: i te wydawane samodzielnie, i te publikowane w gazetach: „Świerszczyku”, „Świecie Młodych”, czy potem w „Nowej Fantastyce” (bo przecież komiks i fantastyka to takie dwa bratanki ;-)) Z samodzielnych zeszytów komiksowych jednymi z pierwszych, jakie



Marta Kostecka

czytałam, były komiksy Tadeusza Baranowskiego, o którym zresztą „Sagitta” wydała publikację *Skąd się bierze humor wszelki? O twórczości komiksowej Tadeusza Baranowskiego*.

Poznałam Lema, radziecką fantastykę (m.in. Arkadij i Borys Strugaccy, czy Kirył Buczyłow), z fantasy Tolkiena, Sapkowskiego, teraz lubię projekt „Harda Horda”.

Kto jest dla Ciebie inspiracją?

Podziwiam wiele osób. Zwłaszcza mądrych, silnych kobiet, których jest coraz więcej i coraz aktywniej działają. Jestem feministką i generalnie z tych wzorców czerpię pełnymi garściami; ale gdybym miała wskazać jedną osobę – po prostu nie jestem w stanie, bo różne osoby w różny sposób mnie inspirują

do różnych rzeczy, więc nie jestem w stanie na to pytanie odpowiedzieć jednoznacznie.

Jakie są Twoje początki działalności związanej z komiksem i fantastyką?

Takim momentem przełomowym było założenie stowarzyszenia POP-ART. To był rok 2016 – i od tej pory działam na całego, chociaż już wcześniej działałam w kulturze, pracowałam w bibliotece, jeszcze wcześniej w bibliotece szkolnej, więc takie pomniejsze działania, na mniejszą skalę też podejmowałam. Jednak stwierdziłam, że czegoś mi brakuje i zdecydowałam się założyć stowarzyszenie.

Czy udzielasz się w akcjach krajowych, a może bardziej działasz lokalnie?

Staram się bywać w różnych miejscach. U nas w Szczecinie na przykład odbywa się Pałacowy Uniwersytet Fantastyczny, bardzo fajna impreza organizowana corocznie w lutym. Jesteśmy jej partnerami jako POP-ART, ale zdarzyło mi się także pojawić z prelekcją. Jak już jesteśmy w zachodniopomorskim, to w tym roku w Białogardzie po raz pierwszy odbył się Białogard

Comic Con, na którym wystąpiłam z prelekcją „Komiksiary rządzą”.

Powiedz mi, co uważasz za swoje największe osiągnięcie?

Jeżeli chodzi o działalność na rzecz komiksu i popkultury, to będzie to założenie stowarzyszenia, bo od tej pory wszelkie moje działania nabrały rozmachu.

Czy odróżniasz komiks od mangi?

Mangi to też są komiksy, tylko komiks ma mnóstwo rodzajów. Manga ma swoje wyznaczniki, specyficzną kreskę. Komiksy azjatyckie są inne niż komiks europejski czy komiks amerykański. Z mangą kojarzymy charakterystyczne wielkie oczy, inne proporcje ciała. Ale nie tylko, bo też sposób wyrazu w mandze jest inny. Ekspresja postaci jest całkowicie inna. O mangach można długo mówić, ale ja nie jestem absolutnie specjalistką. Sięgam po nie sporadycznie, po wybrane tytuły, jak mi ktoś coś poleci, albo jak coś mi wpadnie w oko. Zresztą nie sposób czytać wszystkich rodzajów komiksów, trzeba się specjalizować, bo po prostu nie da się przeczytać wszystkiego, co się pojawia na rynku. Dlatego ja się skupiam głównie na komiksie polskim, zwłaszcza niezależnym.

Jakie widzisz zmiany w edukacji w stosunku do komiksu?

Nie widzę zmian w edukacji. To znaczy jakiś czas temu w podstawie programowej kształcenia ogólnego dla szkoły podstawowej dla klas IV–VI pojawił się komiks *Kajko i Kokosz*. *Szkoła latania* i najczęściej w klasie czwartej dzieciaki omawiają ten komiks — i w zasadzie to tyle, jeżeli chodzi o oficjalną obecność komiksu w edukacji. Ale pojawiają się działania oddolne nauczycieli i nauczycieli.

Taki przykład z mojego podwórka: w Stargardzie działa pani Irenka, która od lat kilkunastu,



co roku organizuje powiatowy konkurs na komiks dla szkół z powiatu stargardzkiego, w którym mnóstwo dzieciaków bierze udział, tworząc komiksy. Za każdym razem mają inny temat przewodni. Komiks to bardzo wdzięczne medium do wypowiadania się na różne tematy i do poznawania nowych rzeczy. Ma taki potencjał popularyzatorski. I w tym konkursie jest to mocno wykorzystywane.

Zawodowo jestem związana z edukacją i pracuję w Zachodniopomorskim Centrum Doskonalenia Nauczycieli, w którym prowadzę taką sieć dla nauczycieli, którzy po prostu chcą pracować z komiksem w szkole, bo widzą ogromne korzyści z tego płynące.

Wykorzystują komiks do celów edukacyjnych, niekoniecznie dlatego, że tak kładą podstawy programowe, podręczniki itd., tylko dlatego, że widzą, iż to jest medium, którym można łatwiej dotrzeć do młodego człowieka, które można świetnie wykorzystać w sposób edukacyjny lub wychowawczy, ale bez takiego smrodku dydaktycznego, który często nam się z edukacją kojarzy. A takie twórcze wyrażanie siebie jest szalenie ważne. W szkole to temat często zaniedbywany.

Czy myślisz, że tworzenie pracowni czy też bibliotek komiksowych mogłoby być dobrym krokiem?

Biblioteki komiksowe, czy też gromadzące komiksy już mamy. Jest Czytelnia Nova w Poznaniu, która oferuje wyłącznie komiksy, ale jest też wiele bibliotek, które może nie kupują samych komiksów, ale stanowią one sporą część ich zbiorów. Bardzo mnie to cieszy, sama z jednej z takich korzystam. Jest to filia Miejskiej Biblioteki Publicznej w Szczecinie, w samym centrum miasta, do której przyjeżdża po komiksy cały Szczecin.

Skąd pomysł? Inspiracja na prelekcję o komiksie kobiecym? Jakbyś



podsumowała swoje spostrzeżenia na temat kobiecego komiksu?

Mamy boom na komiksy polskie. Moim zdaniem złota era komiksu polskiego trwa właśnie teraz, wbrew temu co sądzą osoby, dla których komiks skończył się na Papiu Chmielu. Ale prawda jest taka, że jeszcze 10 lat temu na rynku wydawniczym rocznie pojawiło się około stu tytułów komiksów polskich. W tym momencie pojawia się około tysiąca. To są dane statystyczne: po prostu pojawia się coraz więcej komiksów. I są to bardzo często komiksy dobre, mamy mnóstwo zdolnych twórców i twórczyń.

No właśnie: twórczyni — bo coraz więcej dziewczyn robi komiksy. Tzn. kobiety były w komiksie od początku, mówiłam o tym we wspomnianej prelekcji, ale teraz z roku na rok jest ich więcej i są coraz lepiej widoczne. Wcześniej było ich mniej i były bardziej zdominowane przez facetów, zresztą stereotypowo do tej pory postrzegano komiks jako męską rozrywkę. A w tej chwili jest tyle fantastycznych

dziewczyn robiących komiksy, że po prostu nie sposób przejść koło tego obojętnie.

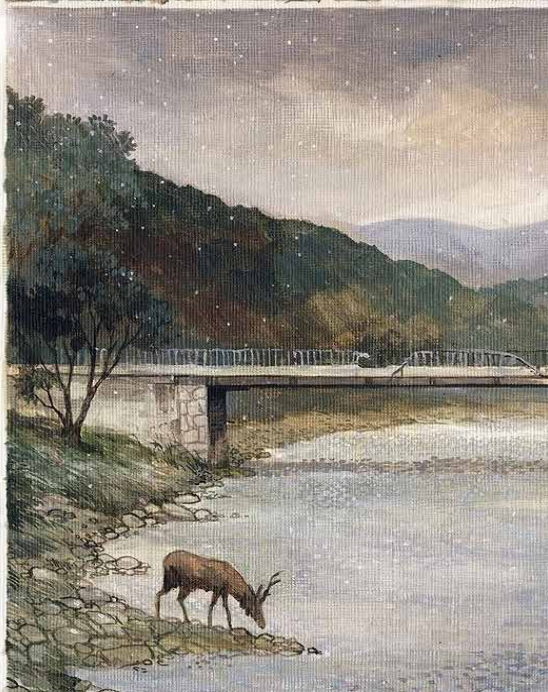
Ja chętnie sięgam po komiksy tworzone przez kobiety, bo one poruszają tematy, które są mi bliskie, odnoszą się do wspólnych doświadczeń. Jest na przykład znakomity komiks o ciąży *Ciemna strona księżycy*. Mężczyzna nie napisze o ciąży, bo tej ciąży może doświadczyć tylko osoba, która ma macicę, w której tę ciążę może po prostu donosić lub nie. Więc to jest takie doświadczenie całkowicie inne. Ale nie każda kobieta musi być w ciąży i o niej pisać, komiks kobiecy ma też inne oblicza.

Kobiety mają inną wrażliwość, chętniej piszą o emocjach, o takich sprawach codziennych, do których facetom stereotypowo sięgać nie wypada. Główny nurt komiksowy kojarzy się z akcją, przygodą, mordobiciem. I to oczywiście przystoi mężczyznom: superbohater ratujący świat, przy okazji rozwalający pół miasta. Tymczasem kobietom jest łatwiej pisać o tematach codziennych, trudnych, ale ważnych: depresji, nierównościach społecznych, osobach wykluczonych, słabszych, dzieciach.

Ulubiony konwent festiwal Comic Con. I dlaczego akurat ten?

No po prostu nie mam wyjścia i muszę powiedzieć, że Beton – bo to nasza impreza, robiona od lat, którą organizujemy mimo różnych przeszkód. Przetrwiała pandemię, choroby nasze i naszych bliskich, i inne przeciwności losu. Beton to Zachodniopomorskie Spotkania z Komiksem i Popkulturą. Wcześniej szczecińskie, od zeszłego roku już wojewódzkie. Rozwijamy się! Najbliższa edycja już w październiku, serdecznie zapraszam!

Jakieś opowieści? Takie wspominki też związane z komiksem fantasy, fantastyką, związane ze Szczecinem. Może jakieś miejsce w Szczecinie



w latach pięćdziesiątych lub dwudziestych?

Ja na początku lat 90. jeszcze nie mieszkalam w Szczecinie, tylko w nim bywałam. Zamieszkałam



dopiero na studiach. Ale są w nim takie magiczne miejsca, które spajają mój Szczecin lat 90. i to, co robię teraz. Na najdłuższej szczecińskiej ulicy, alei Wojska Polskiego, przez długie lata był EMPIK.

Wiem, co Wam się kojarzy, bo teraz Empik to takie mydło i powidło. Książki tam są zwykłym towarem i jest ich mniej niż przeróżnych gadżetów. Ale Empiki, jak się pojawiły w Polsce, to bardzo długo były takimi miejscami, do których można było przyjść, usiąść i poczytać coś, nawet nie kupując od razu. To były takie salony pierwszego kontaktu z książką, prasą, komiksem. W każdym razie właśnie w tym miejscu przez długie lata mieścił się ten Empik – aż w końcu upadł pod naporem galopującego kapitalizmu. W miejscu tego konkretnego długu nie było nic, świetny lokal z tradycją i w znakomitej lokalizacji stał pusty. A mieszkańcy domagali się, żeby wrócił tam duch kultury. I wreszcie w tym miejscu powstała filia biblioteki miejskiej, w której wtedy pracowałam. I w tej filii odbywały się pierwsze popartowe spotkania i giełdy. To jest miejsce, które ma w sobie taki genius loci, że tam muszą być książki, komiksy kultura. I chyba takie miejsca definiują miasta i przyciągają kulturę. Szukajmy ich u siebie i działajmy!

Bardzo dziękuję za zaproszenie i rozmowę.

#Nie tylko barbarzyńcy – to cykl wywiadów przedstawiający sylwetki kobiet działających w szeroko rozumianej fantastyce i promujących ją.

Cykl ten przeprowadzają:

Jaśmina „Dzas” Kotlarek – organizatorka konwentów oraz eventów, larpowicz, rpgowicz, komiksarz, improwizatorka. Zdobywczyni nagród za kreację postaci larpowych. Założycielka pierwszej Trójmiejskiej Inicjatywy Mangowej, działaczka na rzecz NGO w Trójmieście, pracowała na rzecz trójmiejskich projektów muralowych.

Tomasz „Kruszon” Stępiński – rocznik '86, współtwórca Klubu Miłośników Fantastyki „Sagitta”. Animator życia kulturalnego, dziennikarz popkulturowy, regionalista, badacz nowych mediów, miłośnik fantastyki, filmów i komiksów. Prowadzi blog steamalmanac.pl oraz dziejograf.pl



ADAM „CETI” CETNEROWSKI

SPIEL DES JAHRES – TOP 10, SEZON 4

ODC. 18 HANABI

Hanabi

Autor: Antoine Bauza

Rok wydania: 2010

Liczba graczy: 2-5

Czas gry: 25 minut

Ranking BGG*: 489

Rok nagrody: 2013

Grę kooperacyjną* trudno nazwać nowością w roku 2010. Ale gra całkowicie anulująca problem alfa gracza* – musiała przejść głośnym echem przez środowisko graczy. W grze jesteśmy pirotechnikami, którzy muszą odpalać fajerwerki w odpowiedniej kolejności. A w rzeczywistości musimy wyklądać

karty w różnych kolorach w odpowiednich sekwencjach, niczym w pasjansie.

Trik gry polega na tym, że rozdane karty trzymamy w taki sposób, że wszyscy poza nami widzą, co mamy na ręku. W swojej turze możemy zdecydować się zagrać kartę lub przekazać częściową informację o karcie w ręku innego gracza. Oczywiście ilość informacji jest ograniczona, więc trzeba dobierać je tak, aby każda podpowiedź niosła dodatkowe informacje.

Gra się kończy, gdy uda się odpalić wszystkie fajerwerki lub (najczęściej), gdy się popełni zbyt dużo błędów.

Moja opinia

W *Habani* grałem raz i dawno temu (chyba na Nordconie Rzymskim). Nie wspominam źle,





ale nie ciągnie mnie do gry, przy której trzeba tak dużo informacji trzymać w głowie. W ostatnich latach ukazała się gra *Załoga* (*The Crew*), która jest dużo przyjemniejszą wersją kooperacyjnej gry z kartami. Natomiast wiem, że *Habani* przez lata cieszyło się niezwykłą popularnością wśród grup regularnie grających ze sobą, którzy wypracowali systemy komunikacji złożone niczym profesjonalni brydżyści ■

Słowniczek:

Alfa Gracz, Problem Alfa Gracza (Alpha Player) – niedogodność, która pojawia się w grach kooperacyjnych*. Jeżeli każdy z graczy ma te same informacje – to pojawia się pokusa, aby najbardziej doświadczony (albo najgłośniejszy) gracz podejmował wszystkie decyzje, wydając polecenia pozostałym graczom.

BGG – BoardGameGeek (boardgamegeek.com) – strona o grach planszowych z jedną

z największych, jeśli nie największą, bazą danych gier planszowych; ponadto na stronie znajdują się bardzo aktywne fora dyskusyjne, rynek gier i wiele innych przydatnych materiałów. Niezbędny zasób prawdziwego fana gier planszowych. GKF też ma swój profil z listą gier w bibliotece: https://boardgamegeek.com/collection/user/GKF_

Gra kooperacyjna – gra, w której wszyscy gracze współpracują ze sobą, aby pokonać grę. Wygrywają lub przegrywają wszyscy naraz. Wariantem tego typu gry są gry pół-kooperacyjne, w których gracze muszą współpracować ze sobą, ale nie wszyscy muszą zostać zwycięzcami. Przykłady gier kooperacyjnych to *Gloomhaven*, *T.I.M.E. Stories*, *Kroniki zbrodni* (*Chronicles of Crime*), *Ognisty podmuch* (*Flash Point: Fire Rescue*)

źródło: boardgamegeek.com



JANUSZ PISZCZEK

ZAPOWIEDZI PAŹDZIERNIKA

Dawno temu blask (A Brightness Long Ago) – Guy Gavriel Kay

Data wydania: 3 października 2023

Wydawca: Zysk i S-ka

Problem trzech ciał (The Three-Body Problem) – Cixin Liu

Data wydania: 3 października 2023

(wznowienie)

Wydawca: Rebis

Lód – Jacek Dukaj

Data wydania: 3 października 2023

(wznowienie)

Wydawca: Literackie

Wichry Diuny (The Winds of Dune) – Brian Herbert & Kevin J. Anderson

Data wydania: 3 października 2023

(wznowienie)

Wydawca: Rebis

Bractwo pirścienia (The Fellowship of the Ring) – J.R.R. Tolkien

Data wydania: 3 października 2023

(wznowienie)

Wydawca: Zysk i S-ka

Nie z tego świata (Strange Unearthly Things) – Kelly Creagh

Data wydania: 4 października 2023

Wydawca: Jaguar

Njord – Joanna Gajewczyk

Data wydania: 4 października 2023

Wydawca: Mięta

Tron z czaszek. Księga 1 (The Skull Throne) – Peter V. Brett

Data wydania: 6 października 2023

(wznowienie)

Wydawca: Fabryka Słów

Tron z czaszek. Księga 2 (The Skull Throne) – Peter V. Brett

Data wydania: 6 październik 2023

(wznowienie)

Wydawca: Fabryka Słów

Przyczajona groza – H. P. Lovecraft

Data wydania: 9 października 2023

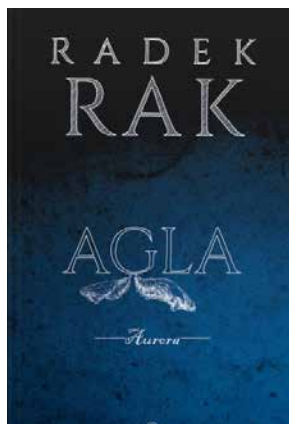
Wydawca: Vesper

J.R.R. Tolkien. Biografia (J.R.R. Tolkien. A Biography) – Humphrey Carpenter

Data wydania: 10 października 2023

(Wznowienie)

Wydawca: Zysk i S-ka



Porcelanowy książę – Nika Hoffmann

Data wydania: 10 października 2023

Wydawca: Prószyński i S-ka

Blue Lily, lily Blue (Blue Lily, lily Blue) – Maggie Stiefvater

Data wydania: 10 października 2023

(wznowienie)

Wydawca: Uroboros

Odyseja kosmiczna 3001. Finał (3001: The Final Osysey) – Arthur C. Clarke

Data wydania: 10 października 2023

(wznowienie)

Wydawca: Rebis

Diuna. Książka do kolorowania – Tomislav Tomic & Frank Herbert

Data wydania: 10 października 2023

Wydawca: Rebis

Harry Potter: Magiczny almanach (The Harry Potter Wizarding Almanac) – J.K. Rowling

Data wydania: 10 października 2023

Wydawca: Media Rodzina

Cała wieczność (When Life Gives You Vampires) – Gloria Duke

Data wydania: 10 października 2023

Wydawca: Prószyński i S-ka

Czarne Góry (Black Hills) – Dan Simmons

Data wydania: 11 października 2023

Wydawca: Vesper

Galaktyka – Wojtek Miłoszewski

Data wydania: 11 października 2023

Wydawca: Harde

Zimogród (Winterkeep) – Kristin Cashore

Data wydania: 11 października 2023

Wydawca: Poradnia K

Nadzieja Królowej (Queen's Hope) – Emily Kate Johnston

Data wydania: 11 października 2023

Wydawca: Olesiejuk

Rumowiska – Wit Szostak

Data wydania: 11 października 2023

Wydawca: Powergraph

Agla. Aurora – Radek Rak

Data wydania: 11 października 2023

Wydawca: Powergraph

Dziewczyna, którą zapomniano – Melka Kowal

Data wydania: 11 października 2023

Wydawca: Znak Literanova

Korona w mroku (Crown of Midnight) – Sarah J. Maas

Data wydania: 11 października 2023

(wznowienie)

Wydawca: Uroboros

Dom Sióstr Marnotrawnych (House of Hollow) – Krystal Sutherland

Data wydania: 11 października 2023

Wydawca: Olesiejuk

Uroczysko (The Shattered Lands) – Brenna Nation

Data wydania: 11 października 2023

Wydawca: Olesiejuk

Belladonna (Belladonna) – Adalyn Grace

Data wydania: 11 października 2023

Wydawca: Olesiejuk

Napar z magii i trucizny (A Magic Steeped in Poison) – Judy I. Lin

Data wydania: 13 października 2023

Wydawca: Must Read

Ogród Imperium (The Garden of Empire) – J.T. Greathouse

Data wydania: 13 października 2023

Wydawca: Fabryka Słów

Ciemny las (The Dark Forest) – Cixin Liu

Data wydania: 17 października 2023

(wznowienie)

Wydawca: Rebis

Ballady Beleriandu (The Lays of Beleriand) – J.R.R. Tolkien

Data wydania: 17 października 2023

Wydawca: Zysk i S-ka

Dwie wieże (Two Towers) – J.R.R. Tolkien

Data wydania: 17 października 2023

Wznowienie

Wydawca: Zysk i S-ka

Bogowie muszą być szaleni – Aneta Jadowska

Data wydania: 18 października 2023

(wznowienie)

Wydawca: Sine Qua Non

Sprawiedliwość królów (The Justice of Kings) – Richard Swan

Data wydania: 19 października 2023

Wydawca: Mag

Czarne Miecze – Arkady Saulski

Data wydania: 20 października 2023

Wydawca: Fabryka Słów

Dziedzic Kaladanu (The Heir of Caladan) – Brian Herbert & Kevon J. Anderson

Data wydania: 17 października 2023

Wydawca: Rebis

Wieczna wojna (The Endless War) – Danielle L. Jensen

Data wydania: 24 października 2023

Wydawca: Galeria Książki

Sixteen Souls (Sixteen Souls) – Rosie Talbot

Data wydania: 25 października 2023

Wydawca: Albatros

Payback's a Witch (Payback's a Witch) – Lana Harper

Data wydania: 25 października 2023

Wydawca: SeeYA

Pan Mercedes (Mr. Mercedes) – Stephen King

Data wydania: 25 października 2023

(wznowienie)

Wydawca: Albatros

Koniec warty (End of Watch) – Stephen King

Data wydania: 25 października 2023

(wznowienie)

Wydawca: Albatros

Znalezione nie kradzione (Finders Keepers) – Stephen King

Data wydania: 25 października 2023

(wznowienie)

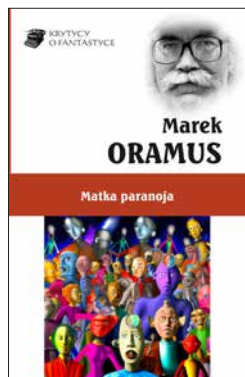
Wydawca: Albatros

Hobbit (z objaśnieniami) (Hobbit) – J.R.R. Tolkien

Data wydania: 25 października 2023

(wznowienie)

Wydawca: Bukowy Las



Konwergencja (Convergence) – Zoraida Cordova

Data wydania: 25 października 2023

Wydawca: Olesiejuk

Słoneczny mąż (The Sunlit Man) – Brandon Sanderson

Data wydania: 25 października 2023

Wydawca: Mag

Nieśmiertelne pragnienia (Immortal Longings) – Chloe Gong

Data wydania: 25 października 2023

Wydawca: Mag

Córka kości (The Bone shard Daughter) – Andrea Stewart

Data wydania: 25 października 2023

Wydawca: Fabryka Słów

Pierzasty Wąż T. I – Michał Gołkowski

Data wydania: 25 października 2023

Wydawca: Fabryka Słów

Zło ze wschodu – Andrzej Pilipiuk

Data wydania: 25 października 2023

Wydawca: Fabryka Słów

Zmierzch Królów (King's Fall) – Evan Currie

Data wydania: 26 października 2023

Wydawca: Drageus

Epoka wojny (Age of War) – Michael J. Sullivan

Data wydania: 25 października 2023

Wydawca: Mag

Okruchy jadeitu (Jade Shards) – Fonda Lee

Data wydania: 25 października 2023

Wydawca: Mag

Folwark zwierzęcy (edycja kolekcjonerska) (Animal Farm) – George Orwell

Data wydania: 25 października 2023

Wydawca: Świat Książki

Mumia. Morze piasku – Paweł Leśniak

Data wydania: 25 października 2023

Wydawca: Wydawnictwo Nocą

Nasze zerwane wiezi (These Twisted Bonds) – Lexi Ryan

Data wydania: 25 października 2023

Wydawca: Świat Książki

Osobliwy cyrk (The Crooked Mask) – Rachel Burge

Data wydania: 25 października 2023

Wydawca: Books4YA

Koniec śmierci (Death's End) – Cixin Liu

Data wydania: 31 października 2023

(wznowienie)

Wydawca: Rebis

Jak sprzedać nawiedzony dom (How to Sell a Hounted House) – Grady Hendrix

Data wydania: 31 października 2023

Wydawca: Zysk

Elryk z Melnibone – Michael Moorcock

Data wydania: 31 października 2023

Wydawca: Zysk

Motyle zła 2 – Jarosław Kłonowski

Data wydania: Październik 2023

Wydawca: Phantom Books

Królowa Bedlam (The Queen of Bedlam) – Robert McCammon

Data wydania: Październik 2023

Wydawca: Vesper

Listy z miasta wiatroaków – Konrad Moździen

Data wydania: Październik 2023

Wydawca: Vesper

Matka paranoja – Marek Oramus

Data wydania: Październik 2023

Wydawca: S talker Books

Epidemie – Red. Wojtek Sedeńko

Data wydania: Październik 2023

Wydawca: Stalker Books



ARTUR ŁUKASIEWICZ

Październik miesiącem oszczędzania. Dlatego pachnie cieniżną i – może poza Lokim i Upload – nie ma nic na tyle interesującego, by przykuć uwagę. Skoro strajk scenarzystów i aktorów trwa, a na jego koniec na razie się nie zanosi, to za parę miesięcy zupełnie zapomnimy o amerykańskich produkcjach. Może i dobrze. Jak zwykle przed Halloween – wysyp mniej lub bardziej udanych horrorów, które ja przyjmuję ze wzruszeniem ramion. Za stary jestem, bym nawet chciał się bać. Miłych seansów!

PAŹDZIERNIK

- 6 października

Egzorcysta: Wyznawca / film / kino

Dwie nawiedzone dziewczynki, które zaginęły na trzy dni w lesie i prawdopodobnie zostały poddane jakiemuś tajemniczemu rytuałowi, będą teraz poddawane procesowi egzorcyzmów. Klasyczne nawiązanie do *Egzorcysty* i setki podobnych dzieł. Dużo krwi, bluźnierstw, powykręcanych ciał i satanistycznych wątków; ale jak ktoś lubi – to czemu nie? Ja nie muszę.

Loki / sezon 2 / Disney

I tu mam zagwozdkę. Lubię tę postać i nawet obejrzałem pierwszy sezon z taką niejaką ciekawością; ale przy obecnym zalewie marvelowych pozycji – nie wiem, czy mi się chce. Nie jest złe, ale poczekam na chwilę wolniejszego czasu.

- 12 października

Zagłada domu Usherów / sezon 1 / Netflix

Uwspółcześniona wersja klasycznej opowieści według Poe'go – z dodatkami z innych utworów. Naprawdę chciałbym być obiektywny; ale boję się, że Netflix nawet to spieprzy. Tym bardziej, że z tej opowiastki wyszedł im serial? Ciekawe...

- 13 października

Krwawa komunia / film / kino

Kino hiszpańskojęzyczne oparte na legendzie o laleczce komunijnej, która okazuje się być opętana – i wprowadza zamieszanie w życie naszej głównej bohaterki. Wyrażnie nadchodzi Halloween.

- 19 października

Wolf Like Me / sezon 2 / premiera w USA (prawdopodobnie też w Polsce) / Prime Video

Drugi sezon opowieści o trzech rozbitkach życiowych, z których jednym jest Wilkołak. Mimo to – całkiem przyjemna opowiastka w krótkich, 25-minutowych, odcinkach, którą można połknąć na jednym posiedzeniu i spokojnie poczekać na drugi sezon, który właśnie się pokazuje. Smacznego!

Ciała / miniserial / Netflix

To samo ciało w czterech różnych okresach czasowych - od Kuby Rozpruwacza, przez lata 40. XX wieku, rok 2023 i 2053. Takie samo zabójstwo, to samo ciało – i zagadka do rozwiązania. Choć to Netflix – to może być przynajmniej interesująco.

- 20 października

Sposób na ducha / film / kino

Klasyczny Oscar Wilde, ale we współczesnych czasach. Do nawiedzonego od 300 lat domu wprowadza się amerykańska rodzina. Czy uda im się pomóc sir Simone'owi w pozbyciu się rodowej klątwy i opuszczeniu domostwa?

Upload / sezon 3 / PrimeVideo

Sezon drugi rozczarował nieco; co pokaże trzeci? Sezon 3 rozpoczyna się od Nory i świeżo poślubionego Nathana, którzy radzą sobie w swoim związku – ścigając się, by powstrzymać tajemniczy spisek, który grozi zniszczeniem istnień ludzkich. Czy uda im się zamknąć Freeyond i wreszcie zacząć wspólne życie? A może to tylko kwestia czasu, aż głowa Nathana eksploduje? Tymczasem w Lakeview aktywowano kopię zapasową Nathana, zaś Ingrid nie zamierza pozwolić, aby druga szansa na miłość wymknęła się spod kontroli.

- 27 października

Dobry piesek! / film / kino

Norwegia. Z pozoru Christian (Gard Løkke) to idealny kandydat na chłopaka, jeśli nie od razu na męża: jest młody i przystojny, dba o tężyznę fizyczną, odziedziczył po rodzicach grube miliony. Co więcej – kocha pieski i opiekuje się swoim pupilem, Frankiem. Jakies czerwone flagi? Cóż, jedna. Frank nie jest zwykłym psem. Jest dorosłym facetem przebranym w kostium psa, którego Christian traktuje jak zwierzę.

Obserwowany / film / kino

Film o internetowym rysowniku, który odkrywa, że mieszka w domu, w którym kiedyś popełniono zbrodnię – a teraz duch zamordowanego dziecka nawiedza jego mieszkanie. Im bardziej chłopak chce dowiedzieć się czegoś więcej o tej sprawie, tym coraz większe przerażenie go ogarnia.

Pięć koszmarnych nocy / film / kino

Mike Schmidt (Josh Hutcherson) traci pracę. Desperacko poszukuje zajęcia, aby zachować prawo do opieki nad swoją dziesięcioletnią siostrą Abby (Piper Rubio). Przyjmuje posadę nocnego stróża w opuszczonej restauracji „Freddy Fazbear’s Pizzeria”, która została zamknięta po serii niewyjaśnionych zaginięć dzieci w latach 80. Już na swojej pierwszej zmianie mężczyzna odkrywa, że nie wszystko jest takie, jakim się wydaje, zaś mechaniczne kukielki, będące główną atrakcją tego miejsca, ożywają pod osłoną mroku i stanowią śmiertelne niebezpieczeństwo. Na podstawie gry komputerowej.

Slotherhouse / film / kino

Emily Young, seniorka, chce zostać wybrana na przewodniczącą swojego stowarzyszenia. Adoptuje uroczego leniwa – myśląc, że może on stać się nową maskotką i pomóc jej wygrać; dopóki seria ofiar śmiertelnych nie wskaże jej maskotki jako głównego podejrzanego o morderstwa...



ZAJDLE ROZDANE

W trakcie łódzkiego Kapitulacza (2 września) wręczono Nagrodę Fandomu Polskiego im. Janusza A. Zajdla za rok 2022. Uhonorowano Radka Raka za powieść *Aglę Alef* oraz Michała Cholewę za opowiadanie *Na granicy*. Laureatom gorąco gratulujemy!

grzeszcz

WRĘCZONO ŻUŁAWIE

W tegorocznej edycji Nagrody Literackiej im. Jerzego Żuławskiego, z której szefowaniu rozstanie zapowiedział niedawno jej wieloletni promotor Andrzej Zimniak, przyznano następujące laury: główną nagrodę dla Radka Raka za *Aglę Alef*; złote wyróżnienie dla Olgi Tokarczuk za *Empuzjon*; srebrne wyróżnienie dla Adama Przechrztę za *Sługę honoru*.

grzeszcz



NAGRODY MINISTRA KULTURY AD 2023 RÓWNIEŻ DLA FANTASTÓW

11 września wręczono doroczne Nagrody Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego za całokształt twórczości lub wybitne osiągnięcia w minionym roku. Wyróżnienie przyznawane jest od 1997 roku. W tegorocznej edycji wśród laureatów znaleźli się Andrzej Sapkowski za twórczość literacką (głównie cykl wiedźmiński) oraz Rafał A. Ziemkiewicz, którego uhonorowano Nagrodą im. Tomasza Merta „Między historią a literaturą” za książkę *Wielka Polska*.

grzeszcz

DUKAJ DO CZYTANIA

W sierpniowym numerze dwumiesięcznika „Książki. Magazyn do czytania” ukazały się m.in. rozważania Jacka Dukaja o tym, „jakie książki napisze nam AI”.

jpp

TAK ODNOTOWANO 50. ROCZNICĘ ŚMIERCI PROFESORA

2 września stacja TVP Dokument nadała francuski film *J.R.R. Tolkien – władca snów*.

jpp

WIADOMOŚĆ ZŁA ORAZ DOBRA

Drużyna część nowej ekranizacji *Diuny* ma wejść do kin nie jesienią tego roku, lecz wiosną roku przyszłego; ale Denis Villeneuve coraz śmielej myśli o filmowej trylogii – trzeci film byłby oparty na *Mesjaszu Diuny*.

jpp

GENCON PEŁEN NAGRÓD

Tegoroczny GenCon obfitował w liczne ceremonie związane z nagrodami. Diana Jones Award otrzymało RPG *Coyote & Crow* osadzone w alternatywnej przyszłości, w której Ameryka nie została skolonizowana przez Europejczyków. ENNIE Awards dla najlepszych produktów związanych

z RPG wręczono w ponad dwudziestu kategoriach. Tytuł gry roku otrzymała *Fabula Ultima* inspirowana tzw. jRPG (japońskimi komputerowymi RPG). Pełna lista laureatów znajduje się na stronie nagrody. Po raz pierwszy nagrody Dice Tower Awards dla gier planszowych zostały wręczone także na GenConie. Najważniejszą kategorię, jaką jest gra roku, zdobyło *Turbo* (*HEAT: Pedal to the Metal*).

Ceti



REMANENTY W MUZEUM SZTUKI FANTASTYCZNEJ

W tej warszawskiej placówce do 8 października można jeszcze oglądać wystawę prac Jerzego Dudy-Gracza zatytułowaną „Remanenty”.

wg.: gazeta.pl

„BUTENKO DLA MAŁYCH I DUŻYCH”

Z kolei w warszawskim Muzeum Karykatury, aż do 29 października, trwa wystawa oryginalnych plansz autorstwa Bohdana Butenki.

wg.: gazeta.pl

NIEKONWENCJONALNY KOMIKS POKONAŁ TRADYCYJNĄ LITERATURĘ

15 września, w sopockim budynku Ergo Hestii, ogłoszono wyniki III edycji nagrody Literatura Podróż Hestii – przyznawanej książkom kierowanym do czytelników w wieku 10–15 lat. Tym razem zwyciężył komiks Aleksandry Herzyk *Wolność albo śmierć* (o Rewolucji Francuskiej). Nominowane też były cztery powieści: *Przyjaciel Północy* Ilony Wisińskiej, *Antoś w bezkresie* Marcina Szczygielskiego, *Uciekaj* Zygmunta Miłoszewskiego, *Biuro dzieci znalezionych* Andrzeja Marka Grabowskiego.

wg.: gazeta.pl



DLA JESZCZE INNEJ GRUPY SŁUCHACZY

Zmodyfikowaną wersję swej prezentacji o genezie literackiej (Verne i Wells) oraz filmowej (Méliès) fantastyki naukowej nasz Rednacz przedstawił 19 września podczas prelekcji w wejherowskiej Powiatowej Bibliotece Publicznej. Przy okazji była też mowa o GKF-ie i „Informatorze”. Więcej o tym wydarzeniu na stronie internetowej i na Facebooku PBPW.

red.

EMILIA MIKULSKA *Morze w naszych żyłach*

Zgodnie z wcześniejszą zapowiedzią – w poczcie literackiej prezentujemy utwór wyróżniony II nagrodą w literackiej części Konkursu Siudmakowskiego. W zaprzyszłym numerze (#395) czytelnicy „Informatora” przeczytają trzeci short z konkursowego podium. [red.]

W tygodniu poprzedzającym nasz wymarsz z miasta na powierzchnię – z wizytą do matki przybyła pewna stara kobieta. Nigdy wcześniej jej nie widziałam; ale wiedziałam, że jest kimś ważnym.

Wtedy nie rozumiałam, o czym rozmawiała, ale wiedziałam, że ta wizyta zmieniła wszystko. W tamtym czasie świat był niebezpiecznym miejscem dla ludzi takich jak ja. Wielka susza sprawiła, że z powierzchni ziemi zniknęły wszystkie wody, a powietrze stało się toksyczne. Ziemia powoli zamieniała się w pustynię. Z każdym dniem było coraz gorzej. Cierpieli wszyscy, ale tacy jak ja szczególnie. Zapadaliśmy na dziwną chorobę, która powoli nas zabijała. Oddychanie stawało się coraz trudniejsze, a każdy oddech zatrzuwał nasze ciała. Po wizycie staruszki matka oznajmiła mi, że opuszczamy miasto, spakowała niewielki bagaż i ruszyliśmy. Nie wiedziałam, dokąd idziemy, ani kiedy wrócimy.

Nasza wędrówka trwała pięć długich miesięcy. Każdego dnia rozpoczynaliśmy marsz o świcie i kończyliśmy o zmroku. Szliśmy wyschniętym korytem rzeki. Matka opowiadała mi, że kiedyś płynęła nim woda, która sprawiała, że wszystko wokół było zielone, a ludziom żyło się dostatnio; ale to było długo przed moim narodzeniem. Gdy nadeszła klęska i rzeki wyschły – po dawnym dostatku pozostały tylko wspomnienia.

Kiedy rozpoczynaliśmy naszą podróż, byliśmy zupełnie sami. Dopiero po kilku tygodniach wędrówki dołączyli do nas inni. Takich jak my było więcej. Opuszczali swoje domy w obawie przed prześladowaniem, zabierali tylko niezbędne rzeczy i uciekali do lasów. Za każdym razem, kiedy spotykaliśmy obcych, matka kazała mi się chować. Była nieufna, pozwalała mi wyjść z kryjówek dopiero, kiedy upewniła się, że ma do czynienia z innymi uciekinierami. Gdy spotykaliśmy ludzi takich jak my – matka rozmawiała z nimi szeptem i przekazywała im wszystko to, czego sama dowiedziała się od starej kobiety. Nie wszyscy wiedzieli to, co ona. Niektórzy miesiącami ukrywali się w lasach, żyli z dnia na dzień, ciesząc się każdym dniem, w którym nie zostali odkryci przez hordy ludzi pustyni.

Poza chorobą – to właśnie oni byli dla takich jak my największym zagrożeniem. Wszystko przez legendę. Ludzie pustyni wierzyli, że w naszych żyłach płynie morze. Nasza krew miała przywrócić świat do równowagi, do ery dobrobytu sprzed wielkiej suszy, która zabrała człowiekowi wodę. To przez nich tacy jak my musieli się ukrywać. Żyliśmy w miastach, między nimi, nie przyznając się jednak do swojej inności. Byliśmy bezpieczni, dopóki ktoś nie odkrył prawdy. Kiedy tak się działo – musieliśmy się ukrywać. Uciekaliśmy przed nimi i przed pyłem, który powoli nas zabijał.

Każdego dnia dołączali do nas kolejni, niektórzy szli sami, inni podróżowali całymi rodzinami. Było wśród nich wiele dzieci. Pierwszy raz miałam okazję poznać dzieci takie jak ja, mogłam rozmawiać i bawić się z nimi bez obawy, że odkryją, kim jestem. To były najszczęśliwsze

i najstraszniejsze chwile mojego życia. Beztroskę dzieciennym zabaw przerywały bowiem epizody choroby. Niejednokrotnie jednemu z dzieci się pogarszało, niektóre z nich podczas naszej wędrówki zasypiały i już się nie budziły. Rodzice nieśli je na rękach w nadziei, że Źródło je uzdrowi. Widziałam wielu, którym nie udało się dotrzeć do celu. Ich ciała poddawały się, nie wytrzymały zanieczyszczenia powietrza i trudów wędrówki. Ja miałam szczęście. Dotarłam do Źródła.

No właśnie, mityczne Źródło – cel naszej wędrówki. Miejsce owiane legendą. Słyszeliśmy historie o jego magicznej mocy, było ich bardzo wiele, jedna dziwniejsza od drugiej. Nikt z nas nie był pewny, czy istnieje naprawdę. Nasza wędrówka mogła doprowadzić nas donikąd; ale mieliśmy nadzieję – to ona trzymała nas przy życiu i pozwalała znosić trudy tułaczki. Źródło było naszym



rys. Aleksandra Małaj (Olsza)

jedynym ratunkiem. Jedna z legend głosiła, że kto napije się ze Źródła, odzyska zdrowie, inna mówiła, że już powietrze wokół Źródła wystarczy, by wyleczyć wszelkie dolegliwości. Ale czym tak naprawdę było Źródło? Czy rzeczywiście miało moc, którą mu przypisywano? I jak je rozpoznać? Tego nie wiedzieliśmy. Kiedy zaczęliśmy zbliżać się do celu naszej wędrówki, opuściły nas wszelkie wątpliwości. Z każdym kolejnym krokiem jego działanie było dla nas coraz pewniejsze. Powietrze stawało się lżejsze, a nas ogarniała coraz większa radość. Źródło. Mistyczne miejsce, o którym tak wiele słyszeliśmy, o którym marzyliśmy z każdym ciężkim haustem zanieczyszczonego powietrza. Im bliżej źródła, tym było nas więcej. Z każdej strony świata tysiące ludzi podążały do tego samego celu.

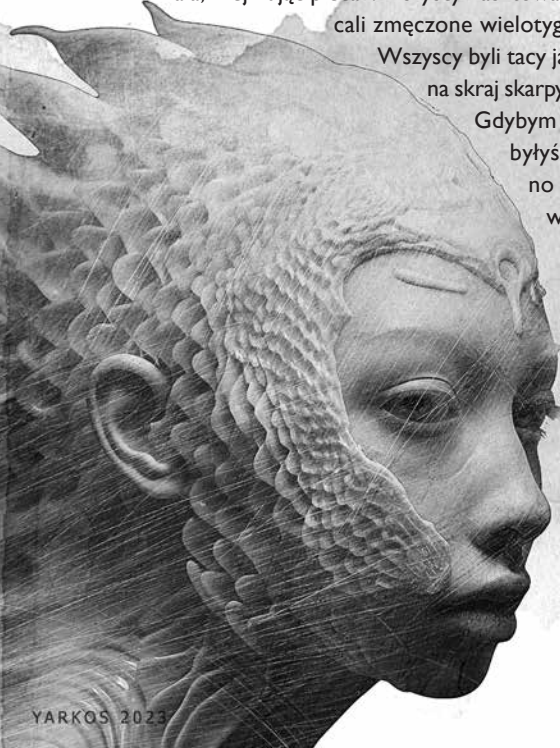
Ostatni etap naszej podróży wymagał wiele cierpliwości. Wspinaliśmy się pod górę, wiedzieliśmy, że Źródło było tuż przed nami, czuliśmy jego moc, ale nie mogliśmy się do niego dostać. Przed nami były tysiące ludzi, którzy dotarli tu wcześniej. Przez kilka dni staraliśmy w wielokilometrowej kolejce. Rozbiliśmy obozowisko, co kilka godzin przesuując się do przodu. Szczęśliwi i niecierpliwi. Szliśmy tak długo, doświadczyliśmy tak wiele zła – ale udało się. Dotarliśmy. Przed nami było ostatnie źródło wody na ziemi. Kiedy w końcu dotarliśmy na szczyt wzgórza, a tłum ludzi przed nami zniknął, przed naszymi oczami rozpostarł się niesamowity widok. Żaden z nas wcześniej nie widział nic podobnego. Ze szczytu, na którym się znajdowaliśmy, rozpościerał się widok na błękit. W dole przed nami było morze – coś, co znaliśmy tylko z opowieści babć.

Kiedy nadeszła nasza kolej – matka mocno chwyciła mnie za rękę i przyciągnęła do siebie. Uśmiechała się szeroko, ale jej oczy były pełne łez.

— Jesteś w domu, moja mała. Tu będziesz bezpieczna, ale dalej musisz pójść sama — powiedziała, zdejmując plecak. Wszyscy nasi towarzysze podróży porzucali swoje bagaże, wyrzucali zmęczone wielotygodniową podróżą ubrania i odsłaniali skrzela.

Wszyscy byli tacy jak ja. Matka wzięła mnie za rękę i zaprowadziła na skraj skarpy. Nie rozumiałam, co się dzieje i dlaczego płaczę.

Gdybym wiedziała, że widzę ją po raz ostatni... Kiedy byliśmy tuż przy krawędzi, przytuliła mnie mocno i popchnęła w dół przepaści. Długo spadałam, wokół mnie lecieli inni, wszyscy uśmiechnięci i szczęśliwi. Ktoś chwycił mnie za rękę, aby dodać otuchy. W końcu uderzyłam w taflę, poczułam przyjemne zimno, moje ciało zanurzyło się w wodzie, a moje skrzela po raz pierwszy zaczerpnęły pełny oddech, po raz pierwszy poczułam czyste powietrze. To było moje miejsce. Moje morze. Spojrzałam w górę, ale już jej nie zobaczyłam, szczyt wzgórza był zdecydowanie zbyt daleko, bym mogła ją dostrzec. Wciąż pamiętam jej uśmiech i łzy, kiedy się ze mną żegnała. Nie mogła pójść ze mną, nie była jedną z nas. W jej żyłach nie było ani kropli morza ■



JANUSZ PISZCZEK

KOLEJNY POLAK W KOSMOSIE (PRAWDOPODOBNIE)

Od kilku lat w internetach trwa dyskusja, czy Polska powinna starać się o wysłanie w kosmos swojego obywatela. Argumenty, które padają za lub przeciw, są różnorodne. Z jednej strony podkreśla się, że MY, NARÓD prawie czterdziestomilionowy powinniśmy... itd. Z drugiej strony podkreśla się fakt, że (jak dotąd) aktywność naszego kraju na polu badań kosmicznych nie usprawiedliwia wydania znaczących kwot na organizowanie wycieczki obywatelowi na orbitę.

Należy podkreślić, że w ostatnich latach intensywność działania w naszym kraju firm z branży New Space wzrasta. Zauważa się zwłaszcza wzrost aktywności nowych, małych firm z regionu Podkarpacia i Pomorza – oraz oczywiście silne instytuty warszawskie. Niebagatelną rolę spełnia tu Polska Agencja Kosmiczna POLSA. O tej instytucji (mającej siedzibę w Gdańsku) można by powiedzieć wiele złego, zwłaszcza o jej uwikłaniu politycznym; ale też trzeba przyznać, że kilka spraw zainicjowała i prowadzi.

Wracając do Polaków w kosmosie – przypomnijmy, że jedynym obywatelem Polski, który odbył lot w kosmos, był Mirosław Hermaszewski, który w 1978 roku poleciał na 8-dniową misję radzieckim statkiem Sojuz 30 w ramach programu Interkosmos. Minęło więc już 45 lat od tego wydarzenia...

Do polskości (czy też do polskich korzeni) przyznawało się też kilku astronautów amerykańskich, którzy latali wahadłowcami space shuttle: Karol Bobko, Scott Parazynski czy też Mark Lewis „Roman” Polansky.

Sytuacja zaczęła się zmieniać ok. 2021 roku, kiedy to Europejska Agencja Kosmiczna ogłosiła rekrutację do nowego korpusu astronautów. W ramach dwuletniego procesu rekrutacji wyłoniono pięcioro nowych astronautów zawodowych + jednego paraastronautę (osobę z niepełnosprawnością fizyczną w celu

zbadania możliwości uczestnictwa takich osób w lotach kosmicznych). Wybrano także 11 astronautów rezerwowych, którzy mieliby być powoływani do konkretnych misji w miarę potrzeb. W grupie rezerwowej znalazł się także Polak – Sławosz Uznański.

Należy podkreślić, że do tej pory nominacje ESA do konkretnych lotów otrzymywali obywatele państw-członków Agencji w zależności od wkładu finansowego w budżet instytucji. Zasada jest taka, że składka minimalna wynosi ok 20 mln euro rocznie, ale kraje mające większy potencjał naukowy i finansowy deklarują wyższe składki. Największy wkład do budżetu ma Francja, która w 2022 roku przelała ponad 1,1 mld euro (co stanowiło ponad 24% budżetu ESA). Środki z budżetu wydawane są w dużej części w krajach, które te sumy wniosły (na przykład poprzez zamawianie w nich badań czy sprzętu). Nic więc dziwnego, że najwięcej astronautów z ESA miały: Francja, Niemcy i Włochy.

Swego czasu w artykule poświęconym turystyce kosmicznej wspominałem o firmie Axiom Space, która podpisała umowę z NASA na prywatne loty do Międzynarodowej Stacji Kosmicznej. Pisałem wtedy, że będą to prawdopodobnie loty typowo turystyczne. Na szczęście okazało się, że ambicje Axiomu są większe. O ile pierwszy lot Axiomu (na statku Crew Dragon, oczywiście) był jeszcze raczej



turystyczno-prestiżowy, to kolejne zmieniają swój charakter.

I tak, na przykład, w locie Axiom 3 (planowanym na II kwartał 2024 r.) będzie uczestniczył Marcus Wandt. Jest on rezerwowym astronautą ESA z ostatniego naboru. Będzie przeprowadzał na orbicie badania przygotowane przez szwedzkie firmy w porozumieniu z ESA.

I tu pojawia się polski wątek. Otóż Polska 29 czerwca br. zadeklarowała znaczący wzrost składki do ESA (do poziomu nawet 295 mln euro). A 9 sierpnia ogłoszono podpisanie umowy pomiędzy Axiom Space a Polską, w porozumieniu z ESA, dotyczącą lotu naszego astronauty w ramach przyszłej misji na ISS. W ogłoszeniu nie ujawniono ani tożsamości astronauty, ani tego, kiedy ta osoba uda się na stację. Speculuje się, że będzie to Sławosz Uznański. Powszechnie sądzi się, że lot odbędzie się pod koniec 2024 roku w ramach misji Axiom 4.

ESA ogłosiła właśnie, że przyjmuje od polskich firm zgłoszenia badań i eksperymentów, które miałyby być przeprowadzone na Międzynarodowej Stacji Kosmicznej. Polskie władze ogłosiły jednocześnie, że oprócz badań naukowych – nasz astronauta przeprowadzi pakiet działań edukacyjnych z orbity.

Umowy Polski i Szwecji z Axiom Space wpisują się w rosnące zainteresowanie załogowymi lotami kosmicznymi w Europie. Podobne plany mają też Węgry, Włochy i Turcja.

Zarówno włoskie, jak i węgierskie wysiłki mają na razie miejsce poza ESA, ale agencja postrzega je jako oznaki rosnącego zainteresowania lotami kosmicznymi w Europie. „Szwecję, Polskę i wiele innych krajów

zainspirowała teraz ambicja, by polecieć w kosmos i mieć astronautę w kosmosie” – powiedział Josef Aschbacher, dyrektor generalny ESA, w wywiadzie udzielonym w lipcu. „Ten impet zaczyna się rozwijać i mogę tylko powiedzieć, że miło to widzieć”. Powiedział też, że to zainteresowanie pomaga pobudzić wysiłki ESA w celu ustanowienia bardziej ambitnego europejskiego programu lotów kosmicznych z udziałem ludzi, który mógłby obejmować rozwój własnych systemów transportu załogi.

Kim jest nasz przyszły astronauta?

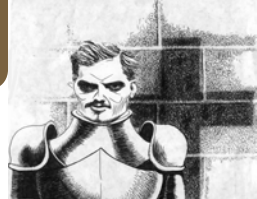
Jak podaje Wikipedia – Sławosz Uznański pochodzi z Łodzi. Urodził się 12 kwietnia 1984 (data znacząca ☺). W 2008 r. ukończył



Sławosz Uznański, fot. Wikipedia

z wyróżnieniem studia magisterskie na Politechnice Łódzkiej oraz studia magisterskie na Université de Nantes – i w tym samym roku otrzymał również dyplom inżynierski na École Polytechnique de l'Université de Nantes. W 2011 r. uzyskał z wyróżnieniem stopień doktora na Université d'Aix-Marseille za pracę dotyczącą konstrukcji odpornych na promieniowanie kosmiczne.

Specjalizuje się w projektowaniu elektroniki pracującej w akceleratorach, projektował m.in. system sterowania mocą Wielkiego Zderzacza Hadronów w CERN; i od tego czasu pracuje jako jego operator. Autor książki na temat efektów promieniowania w układach elektronicznych i współautor ponad 50 artykułów naukowych. Prowadził wykłady dotyczące projektowania systemów kosmicznych na międzynarodowych szkołach inżynierskich oraz był recenzentem wielu projektów satelitów komercyjnych ■



KORRESPONDENCJA 144

SMUTEK WIENĆZY DZIEŁO

Bardzo dużo czasu upłynęło od poprzedniego spotkania z bohaterami cyklu Algorytmy Wojny **Michała Cholewy**, ale w końcu przyszła pora na finał. **Gra o sumie niezerowej** splata porozplątane wątki, odkrywa ostatnie asy w rękawach bohaterów i zamyka drzwi przynajmniej za najważniejszymi węzłami opowieści.

Zgodnie ze starą zasadą, że kiedy jesteś za słaby, by się bronić, musisz atakować – rajd IV floty UE na terytorium Imperium rozwija się nadzwyczaj pomyślnie, choć nie wszystkie elementy tego śmiałego przedsięwzięcia zostały zrealizowane, a niepowstrzymany marsz wrogiej Pierwszej Floty Uderzeniowej nieuchronnie zmierza w kierunku stołecznego układu Unii. Obserwujemy więc swoisty wyścig, w którym przewaga jest po stronie wspomaganych SI Chin, ale i UE nie jest bez szans. Tej drugiej potrzeba jednak znacznie więcej szczęścia, niż się zazwyczaj dostaje w kartach. Ale IV flota nie ma się już gdzie cofnąć, a poza tym trybiki dywersyjnych akcji Dowództwa Operacji Specjalnych poszły już w ruch i grzechem byłoby nie obstawić 0 w tej ruletce.

Fabula powieści rozpisana jest na kilku planach: obserwujemy zmagania obydwu uderzeniowych flot w obcych przestrzeniach, a do tego życie pod presją mieszkańców unijnej stołecznej planety oraz raczej beztroskie obywateli chińskiej stolicy. Do tego dochodzą jeszcze perypetie dzielnych komandosów czy eskadr broniących imperialnego centralnego układu zagrożonego przez IV flotę. W tym wszystkim pojawiają się także akcje wywiadu i kontrwywiadu obu sił, a głównym celem gry jest zdobycie dowodów na to, że chiński Cesarz

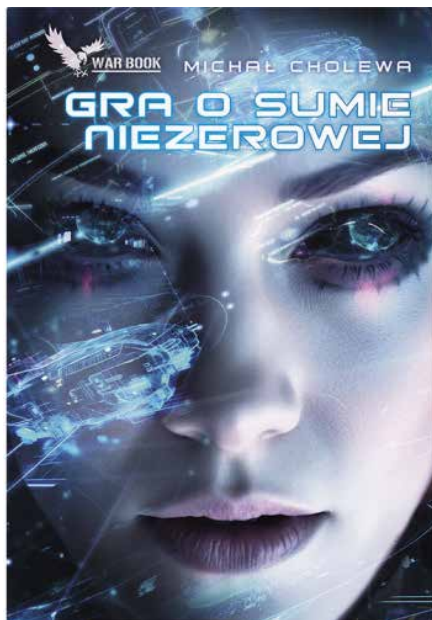
spiknął się z wrogiem ludzkości – Sztuczną Inteligencją – i przy jej udziale próbuje zaprowadzić nad wszystkimi skolonizowanymi przez ludzkość systemami. Jak się okaże, prawda o SI jest znacznie bardziej skomplikowana, a nie każdemu żołnierzowi Imperium będzie nie w smak służyć w armii, która wygrywa.

Powieść to emocjonalny *rollercoaster*, a czytelnik musi głęboko wbijać się w fotel, by nie odfrunąć z nadmiaru fabularnych bodźców. Szale zwycięstwa przechylają się to na jedną, to na drugą stronę, a finałowego gongu wciąż nie słychać. Tak jak przy wcześniejszych odsłonach cyklu miałem za złe Michałowi, że za bardzo się skupia na działaniach, a za mało odślania to wszystko, co stoi za posunięciami postaci, tak teraz – niczym nałogowiec na głodzie – pędziłem na złamanie karku przez fragmenty, nazwijmy je – refleksyjne, by się rozsmakowywać w samym gęstym: gwiazdnych bitwach, łowach służb specjalnych czy akcjach dywersyjnych. Nie spodziewałem się, że kiedykolwiek jakakolwiek *space opera* wywoła we mnie takie krańcowe emocje, ale – jak na finał przystało – autor nie pożałował najbardziej smakowitych kąsków.

Zdradziwszy to wszystko, muszę się przyznać jeszcze i do tego, że choć lektura mnie ukontentowała, to tak naprawdę nie za bardzo potrafiłbym powiedzieć, co się za nią kryje. Tym bardziej, że trudno jest pochwalić pisarza za konkrety, nie zdradziwszy, co jest siłą jego przekazu. Napiszę więc na tyle oględnie, na ile będę potrafił. Głównym kontrapunktem dla Algorytmów Wojny jest twórczość innego wielkiego twórcy *space opery* – Isaaca Asimova. Z jednej więc strony Cholewa przeprowadza krytykę jego praw

robotyki, uznając, że są one nierealistyczne, nie do zrealizowania i nigdy nie zadziałają (z tego samego założenia wychodzili już twórcy *Terminatora*). Z drugiej – trawestuje wielki plan Hariego Seldona oraz psychohistorię, co każe się odbiorcy zastanowić nad tym, kto jest twórcą, a kto tworzywem, kto przyjacielem, a kto wrogiem i wreszcie: jaką cenę warto zapłacić za postęp.

Jak każdą dobrą literaturę, również i tę powieść wieńczy smutek. Aż chciałoby się powtórzyć za Frodem: uratowaliśmy świat, ale nie dla siebie. Fabuła przyniesie wiele rozstań z licznymi bohaterami i ofiar, o których chciałoby się powiedzieć, niepotrzebnych. Ale po tym też poznać klasę autora, że nie odpowiada na małostkowe oczekiwania czytelników, lecz realizuje z góry zamierzony plan, zgodny z ekonomiką powieści. I choć w tzw. międzyczasie wiele się w naszym świecie zmieniło (Zjednoczone Królestwo już nie jest w UE, a Rosja okazała się równie zajadłym jej wrogiem, co Chiny; pojawiły się także nowe gadżety – mieszkańcy Londynu noszą w tym tomie np. smartwatche), to doprowadził go do końca. Wartość powieści można zmierzyć i tym, że



nawet wybitni aktorzy muszą czasami zejść ze sceny przed opadnięciem kurtyny. Nie obejdzie się zatem bez żalu, z którego płynie jednak pociecha (jakby to powiedział Tolkien: eukatastrophe). Czy była to powieść na miarę Zajdła lub Żuławia – dowiemy się za rok ■

PÓŁ WIEKU BEZ PROFESORA

2 września minęło 50 lat od chwili, kiedy John Ronald Reuel Tolkien powrócił do domu Ojca. Długo przymierzałem się do napisania wspomnieniowego tekstu poświęconego temu twórcy, ale nie mogłem za nic znaleźć na niego pomysłu. Co więcej, przeczytałem kilka okolicznościowych artykułów w prasie lokalnej (jednak nie pomorskiej, bo na początku września przebywałem na Mazowszu) oraz na portalach internetowych – i wcale się od tego mądrzej-szy nie zrobiłem. Może poza jedną konstatacją: obiektywnego, okołobiograficznego panegiryku

nie popełnię na pewno, bo kolejnego już sam nie zdzierzę. Ostatecznie więc będzie to bardzo osobiste, subiektywne jak na felieton przystało, podsumowanie mojej 38-letniej bez mała znajomości z Profesorem z Oksfordu. Być może niektóre z moich wynurzeń uważnym, a także regularnym czytelnikom naszych fanzinów, są już znane, ale liczę na to, że co roku dołączają nowi, którzy się jeszcze z moją opowieścią nie zetknęli.

Po raz pierwszy o Tolkienie i jego dziełach dowiedziałem się po wakacjach roku 1985.

Wtedy to, oglądając w porannym, sobotnim paśmie dla dzieci i młodzieży program „Drops” (który zastąpił „Sobótkę”, w której królowała *Załoga G* vel *Wojna planet* – amerykańska wersja japońskiej kreskówki *Technologiczni Ninja Gatcha Men*), natknąłem się na prezentację Jacka Rodka (wówczas nie miałem pojęcia, jaka to ważna dla fandomu persona) poświęconą właśnie *Władcy Pierścieni* i oczywiście Johnowi Ronaldowi Reuelowi Tolkienowi. Czy miało to związek z promocją gry planszowej *Bitwa na Polach Pelennoru*, czy puszczano fragmenty filmu Bakshiego – nie pamiętam. Z całego tamtego odcinka programu zapamiętałem tylko nazwisko autora, tytuł książki i ogromne wrażenie, jakie zrobiły na mnie trzy opasłe tomiska opatrzone budzącymi ciekawość i niepokojącymi obwolutami Jerzego Czerniawskiego. Zresztą nie tylko moją uwagę przykuło wystąpienie Jacka Rodka, bo kiedy w następny poniedziałek na pierwszej długiej przerwie pobiegłem do szkolnej biblioteki, by wypożyczyć *Władcę*, to byłem w kolejce do niego drugi i oczywiście musiałem obejść się smakiem, tzn. *Hobbitem*. O tym, jak byłem naiwny, sądząc, że w każdej tego typu instytucji powinna być powieść Tolkiena, przekonałem się, szukając jej w pobliskich bibliotekach, do których byłem zapisany – zero egzemplarzy, nawet w katalogach.

Moja pierwsza lektura *Władcy* trwała niemal przez cały rok szkolny, bo raz wypadłem z kolejki i musiałem czekać, aż trzeci tom skończy czytać kolega, który okazał się ode mnie sprytniejszy. (Nawiasem mówiąc: w tym czasie wielu, a może nawet większość, kolegów z mojej klasy zaczytywało się Tolkienem, nawet tacy, których nigdy bym nie podejrzewał o zamiłowanie do literatury; dwóch zaś planowało założyć zespół heavy metalowy, nazywając go... Ephel Duath). Samo zaś czytanie tej powieści było dla mnie wydarzeniem na

miarę epifanii! Jednym z tych niezbyt częstych momentów w moim życiu, kiedy niemal namacalnie czułem obecność Stwórcy. Wiedziałem już od pierwszych linijek, że będzie to przełom w mojej egzystencji oraz inicjacja do prawdziwie dorosłego świata. Wciągnęła mnie nie tylko fabuła, ale przede wszystkim wykreowany przez Profesora świat. Połknąłem więc nie tylko powieść, ale i Dodatki, a potem kupionego za ciężkie pieniądze na rynku na Przymorzu (obecnie „Zielonym Rynku”) *Silmarilliona*. I tak stałem się Tolkienistą, choć – patrząc dziś na siebie – raczej fanem z doskoku, a nie zapaleńcem poświęcających swemu ulubionemu dziełu i twórcy każdą wolną chwilę życia.

Tolkien i *Władca* miały niebagatelny wpływ na moje życie. Za ich sprawą zrozumiałem, że to właśnie fantasy jest moją ulubioną odmianą literatury (dzięki temu samemu Rodkowi, który w następnych „Dropsach” kontynuował opowieści o literaturze fantasy, dowiedziałem się m.in. o Conanie Roberta Ervina Howarda oraz zeszytowym cyklu Iskier „Magią i Mieczem”). A ponieważ była to literatura w drugiej połowie lat 80. niemal niewydawana, zwróciłem uwagi na klubówki (sprzedawane na tym samym rynku i niewiele tańsze od wspomnianego bajońsko drogiego *Silmarilliona*). Po antykwariatach poszukiwałem archiwalnych numerów „Fantastyki”, o których wiedziałem, że będą tam pojedyncze opowiadania fantasy (nauczyłem się zwracać uwagę na przypisy i bibliografię) albo powieści w odcinkach do samodzielnego opracowania w książeczkę (*Świat Czarownic* Andre Norton, *Jeźdźcy Smoków* Anne McCaffrey, *Znak białego księżyc* Lino Aldanigo i Danieli Piegai, *Trzy serca i trzy lwy* Paula Andersona – nie pytaście, jak wyglądały moje egzemplarze, ale cztery tytuły na półce to niemal połowa całej ówczesnej polskiej produkcji fantasy! I jeszcze jedno: żadna z tych powieści nie była fantasy pełnokrwistą, bo

w każdej powieści mieszkańcy naszego świata przenosili się do miejsc, którymi władza magia i miecz; *Jeźdźcy* zaś to nawet w ogóle nie była fantastyka baśniowa!). Jadąc kiedyś na kolonie, uparcie czytałem wspomnianą powieść Alda-niego i Piegai (strasznie marksistowska), a siedzący obok mnie współuczestnik zerkał mi wciąż przez ramię, na postojach zaś zapytał, czy to dobra rzecz. Od słowa do słowa zostaliśmy najlepszymi kumplami na tym turnusie, a po wakacjach wspólnie zapisaliśmy się do... GKF! W ten sposób fascynacja Tolkienem uczyniła ze mnie zreszonego fana, a kolegą, któremu zawdzięczam członkostwo w klubie, jest Adam „Lewy” Lewandowski! Właśnie minęły 34 lata od tamtej chwili!

Dzięki GKF-owi mogłem rozwijać swoją Tolkienowską pasję. Odkryłem, że nie tylko lektura prozy sprawia mi radość, ale niemal każdy tekst poświęcony ulubionej odmianie tematycznej fantastyki. Sam nie wiem kiedy, lekturę „Nowej Fantastyki” rozpocząłem od stron z publicystyką i takie też teksty zacząłem oddawać do naszych fanzinów. Kiedy zaś przyszedł moment wyboru studiów, długo się nie zastanawiałem i skierowałem swoje kroki na polonistykę. Przez chwilę tylko mi się wydawało, że nauczę się na studiach pisać prozę, szybko się jednak przekonałem, że najlepiej mi wychodzi krytyka literacka. Pisząc pracę magisterską poświęconą teorii literatury fantasy, byłem jednym z prekursorów badań w tym zakresie – i temat ten zawdzięczam również Tolkienowi, który okazał się nie tylko błyskotliwym pisarzem, ale także inspirującym badaczem literatury (jego esej *O baśniach* to przecież krytyczny komentarz do własnej twórczości, a także niezrównany wykład na temat istoty tej odmiany fantazjowania). Naśladowując wielkiego oksfordczyka, nie starałem się nigdy rozbiierać na kawałki wieży w ogrodzie przodka, tylko wdrapywałem się

na jej szczyt, by popatrzeć na morze; i podobnie jak Profesor uważałem, że psucie jakiejś rzeczy, żeby lepiej poznać jej istotę, nie przystoi mędrcom. Dlatego też synteza była mi zawsze bliższa od analizy (jak wiadomo z fizyki, to właśnie ta reakcja wyzwala większą energię niż rozpad) oraz fenomenologia od strukturalizmu. Do pewnego stopnia te preferencje wynikają też z moich religijnych przekonań oraz konserwatywnego usposobienia (aczkolwiek od frywolnych żartów w swoich komiksowych scenariuszach czy fraszkach uciec nie potrafię). Tak się szczęśliwie złożyło, że dzielę swój światopogląd z moim Mistrzem, co chyba pozwala mi lepiej zrozumieć jego dzieło. Aczkolwiek w czasie pierwszej lektury, jeszcze za komuny, odczytałem *Władcę* alegorycznie, dostrzegając w *Wojnie o Pierścień* starcie Polski z ZSRS (podobnie zresztą odbierali tę powieść internowani działacze Solidarności w stanie wojennym, więc nie mam się chyba czego wstydyć).

Na zakończenie zatrzymam się przy zasygnalizowanych już kwestiach religijnych, bo wiara Tolkiena to też sprawa niebywała. Raz, że był Tolkien wiernym członkiem Kościoła rzymskokatolickiego, co nawet dzisiaj w Wielkiej Brytanii nie czyni życia szczególnie łatwym i żadnych profitów nie przynosi (Tony Blair został katolikiem po tym, jak opuścił funkcję premiera rządu JKM). Co więcej – był wyznawcą żarliwym, zakochanym w Eucharystii i... Matce Boskiej. Przez większość życia każdy dzień rozpoczynał od mszy świętej (co skrzętnie ukryto w biograficznym filmie mu poświęconym) i miał niebagatelny wpływ na nawrócenie Clive'a Staplesa Lewisa (niestety dla Tolkiena – tylko na anglikanizm, co w połączeniu z późniejszym małżeństwem Lewisa z rozwódką doprowadziło do rozluźnienia więzów ich przyjaźni; po jego śmierci Tolkien jednak dotkliwie odczuł osamotnienie). Jego

krewni i przyjaciele poświadczają religijne zaangażowanie, najstarszy z synów został przecież katolickim księdzem, dlatego boleśnie musiał przeżyć rozwód Christophera – przygotowywanego na opiekuna swej spuścizny. Rozpoczęto nawet proces beatyfikacyjny Tolkiena; ale na razie głucho o postępach w tej kwestii, choć znalazło się świadectwo, że zainicjowana przez niego modlitwa w domu znajomych przyniosła poprawę zdrowia ich dziecka.

Bez względu jednak, jak się ta sprawa zakończy, niezłomność i oddanie Tolkiena katolicyzmowi jest niepodważalne. W tych właśnie dniach ukazała się książka *Tolkien's Faith. A Spiritual Biography* Holly Ordway, która zbiera rozproszone wątki religijnego życia twórcy Śródziemia – i nie mogę się doczekać jej publikacji po polsku (podobno jest już zainteresowany nią wydawca). Póki co, każdemu, kto chce sprawdzić, że dzieła Tolkiena nie stały w sprzeczności z katolicką

nauką, mogę polecić książkę księdza Stanisława Adamiaka *Teologia Tolkiena*. A zadaniem, które stawiam przed sobą, jest ponowna lektura *Władcy*, bo coraz częściej się łapię na tym, że świetnie pamiętam film Jacksona, a znacznie słabiej powieść, której tyle zawdzięczam ■

Ps. I. Przypomniał mi o tym nasz niezawodny naczelny, że w 5. numerze fanzinu „Galactica” (wydawanego przez klub, do którego się zapisałem, wstępując w szeregi naszej federacji) ukazała się nowelka, szumnie nazwana minipowieścią, *Powrót do Śródziemia* Krzysztofa Drozda. Zwyciężyła ona w konkursie literackim organizowanym przez KF Galactica i opowiadała o powracających z kosmosu Ziemiianinach,

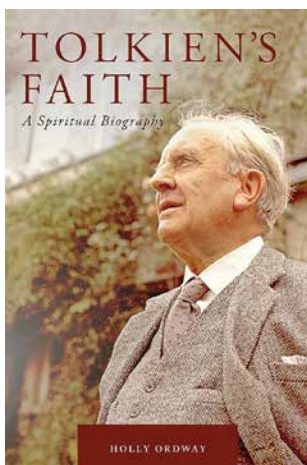
którzy – wylądowawszy – znajdują naszą planetę zniszczoną, a niedobitki ludzkości cofnięte w rozwoju do czasów feudalnych. Ich uwagę przykuwa niezwykła religia, którą ocalańcy wyznają. W komputerze statku odnajdują tekst świętej dla swoich późnych potomków księgi, którą jest... *Silmarillion*. Opowiadanie jest właściwie jedynie wprowadzeniem do historii, która mogłaby się ciekawie rozwinąć, gdyby uczciwie nad nią przysiąść. Niestety, jej autor

chyba się nie czuł na siłach, a o jego dalszych losach nic nie wiadomo. Tak czy siak szkoda...

Ps. 2. Zanim powstał Angmar, istniał już w GKF inny klub bezpośrednio odwołujący się do spuścizny Tolkiena. Nosił on nazwę Mordor i wydawał fanzin „Nazgul”. Wyszedł tylko 2 numery, ale za to jakie! Ich ozdobą były fragmenty powieści Kazimierza Minko Eddie – opowiadające o krwawych jatkach, które bohater okładek albumów Iron Maiden urządził sobie w baśniowym

świecie, do którego w wyniku jakiejś kosmicznej katastrofy się dostał. Pomysł żywem ściągnięty z *Predatora*, ale za to czytało się te kawałki z wypiekami na twarzy. Żal, że serii tej autor nie kontynuował później na łamach któregośkolwiek z giekaefowskich zinów. Jeszcze bardziej tajemnicze jest zaś to, że głównym miejscem spotkań Mordorowców było osiedle, na którym mieszałem przez 25 lat (również w czasach istnienia tego klubu), czyli Żabianka. Jak to się stało, że się z nimi wówczas nie spotkałem – nie mam pojęcia. Chyba byłem jednak za szczyłowaty dla tych metalowców, no i słuchałem Papa Dance (z Warzyszakiem rzecz jasna)...

Wasz wielkokacki korespondent



KAROL GINTER

KOCIOŁEK JESZCZE DWA RAZY

Marcin Mortka

*Głodna Puszcza
i Skrzynia pełna dusz*

Co zrobić, gdy kłopoty pukają do drzwi? Edmund zwany Kociołkiem najpierw próbuje przed nimi uciec. Gdy do jego karczmy zjeżdżają książęta – chowa się przed nimi. Dobrze wie, że taka wizyta to zapowiedź uwikłania w kolejną przygodę. Jednak nie udaje się uniknąć spotkania. Książęta oczekują, że ruszy do Głodnej Puszczy. Ma tam odnaleźć rycerza Pogorzałka i wyjaśnić, co ma wspólnego z tamtejszymi trollami.

Kociołek zapiera się rękami i nogami, by nie podjąć się tego zadania; ale co zrobić, gdy nawet żona go zachęca, by ruszył na wyprawę? Zbiera drużynę i opuszcza przytulną karczmę. W efekcie będzie musiał stawić czoła intrygom politycznym i spiskom, a nade wszystko znowu powstrzymać Złe.

Humor, wyraziste postacie i dużo akcji. Tak w skrócie można podsumować tę powieść. Świetna rozrywka. Doskonale poprawia nastrój. Jasne: autor stawia bohaterów przed wyzwaniem, z których nie powinni wyjść cało – ale od czego są cuda? Taka konwencja. Dobrze się bawiłem, więc mogę przymknąć oko na pewne drobiazgi.

Autor rozwija swój pomysł na uniwersum Doliny. Buduje postacie. Dodaje nowe historie i tajemnice. Zapowiada się doskonale cykl.

Właściciel karczmy właściwie powinien się cieszyć z gości. Co jednak zrobić, gdy owi goście zjawiają się późno w nocy – i na dodatek są bandą trolli? Z którymi, co gorsza, gospodarz dopiero co walczył? Kociołek staje przed trudnym wyborem. Bo okazuje się, żetrolle są w tarapatkach. Są ścigani i mordowani. Książę Rupert uparł się, by zdobyć jak najwięcej dusz trolli. Rozkazał

swoim ludziom, by tropili i zabijalitrolle. Biada więc trollom. A Kociołek w gruncie rzeczy ma miękkie serce. Pomaga zatem trollom, choć żywi do nich urazę (z wzajemnością). Postanawia też przeszkodzić ludziom księcia Ruperta w dalszym polowaniu. Tyle tylko, że – gdy wdraża plan w życie – okazuje się, że Złe znowu jest w Dolinie i zagraża jej mieszkańcom. Chcąc nie chcąc – Kociołek rusza w kolejną pełną przygód wyprawę.

Trzeci tom całkiem udanego cyklu. Znowu powieść szybko pochłonąłem. Wartka akcja okraszona dużą porcją cierpkiego humoru. Autor rozbudowuje swoje uniwersum. Wprowadza nowe pomysły. Popisuje się kreatywnością. Wszystko zaś napisane jest gawędziarskim językiem, który szalenie mi się podoba. Jasne, jakieś drobiazgi drażniły mój nadmiernie rozwinięty zmysł logiki – ale fabuła na tyle mnie wciągnęła, że udało mi się je zignorować. Doskonale rozrywka. Pozostaje mi czekać na ciąg dalszy oraz mieć nadzieję, że autor utrzyma formę ■

karolginter.pl

[tytuł od redakcji
INFO]

ARTUR ŁUKASIEWICZ

BYŁEM GEEKIEM W PRL-U – CZYLI BEZ ŁADU I SKŁADU

Bardzo sobie cenilem wychodzące do niedawna pismo „Pixel”. Choć głównym tematem były najnowsze gry komputerowe, to sporo materiału zajmowały w nim wycieczki w stronę „retro”.

Prezentowano nowe gry – które przez cały czas się ukazują i trzymają się mocno – na takie pocziwiny, jak Commodore 64, Atari 800 XL i oczywiście na pospolitego gumia, czyli ZX Spectrum. „Pixel” często przypominał dawne gry, rozmawiał z ich twórcami. Miał do tego specjalną rubrykę zwaną „Hall of Fame”. Często przypominał dawne maszyny, szukał przyczyn ich upadku i błędnych projektów mających na celu ich ulepszenie, a które okazywały się gwoździem do trumny. Spora część magazynu zajmowały również całkiem współczesne recenzje nie tylko gier, ale też swoście pojętej popkultury: komiksów, książek, filmów czy wydawnictw muzycznych.



Wydawnictwo poza publikowaniem miesięcznika drukowało też tytuły dotyczące starych komputerów, m.in. przewodniki po dawnych grach.

A od marca 2020 roku w ramach „Pixela” zaczął ukazywać się specjalny dodatek pod nazwą „One Life Left”, od razu pod numerem dziesiątym. Z tego, co się zorientowałem, części wcześniejsze były specjalnymi dodatkami „tylko dla prenumeratorów” – ale mniejsza z tym. W owym dodatku, redagowanym przez Tomasza Kreczmara, prezentowano w skrócie „Świat lat minionych w PRL-u”. Ale była to specyficzna prezentacja, bo poza klasycznymi przedmiotami codziennego użytku przybliżała świat ówczesnej telewizji, kina, teatru – z pozycji, którą dziś nazwalibyśmy pozycją „geeka”. Kryminał, fantastyka, wszystko, co można wziąć pod nawias „popkultury”.

Niestety, z końcem 2022 roku zaczęły się kłopoty. Pismo wychodziło nieregularnie, po czym, ni stąd ni zowąd, po prostu przestało, bez jakichkolwiek uprzedzeń z ich strony – przynajmniej w druku – wychodzić. Umarło wydawniczo.

Przyznam, że wychodząca „geekowska seria” była tym, czego żałowałem najbardziej. Pomyślałem: dobry pomysł, szkoda, że niewykorzystany...

I oto pomyliłem się! Kiedy zacząłem uważniej przyglądać się „Pixelowi” w sieci – w marcu 2023 roku dowiedziałem się, że właśnie

powstaje książka pod tytułem *Byłem geekiem w PRL-u*, która ma być w założeniu właśnie szerokim spektrum tego, co ukazywało się przez 17 numerów czasopisma.

Z zadowoleniem złożyłem stosowne zamówienie przez Internet i oczekiwałem na przesyłkę. Przybyła (z jakimś dwutygodniowym opóźnieniem) tuż pod koniec czerwca.

Grubaśna: czterystustronicowa i niestety, poza okładką, w całości czarno-biała. To znaczy chodzi o zdjęcia, których jest masa, a które w wersji na lakierowanym papierze czasopisma wyglądały jeszcze jako-tako, to na papierze zwykłym są po prostu zbyt ciemne, niewyraźne, niekiedy (o zgrozo!) po dużym powiększeniu „rozpikselizowane” – czyli po prostu edytorsko spieprzone.

Inna sprawa, że autor książki, Tomasz Kreczmar, postanowił na marginesach książki umieścić miniatury zdjęć, które miały być swoistym uzupełnieniem treści głównej. Są na nich autorzy, filmowcy, okładki i pojedyncze strony książek i komiksów. Rzecz w tym, że te miniatury są na tyle małe, że są też w dużej mierze kompletnie nieczytelne – i musimy często uwierzyć na słowo autorowi, że przedstawiają właśnie to, o czym pisze on pod owymi miniaturami. O ile sam się nie myli, bo mnie kilkanaście razy udało się złapać za głowę nad oczywistymi przeinaczeniami, literówkami czy pomyłkami, jakimi owe podpisy się szczycą. Najbardziej zaskoczyło mnie pomylenie dwóch, jakże istotnych, osób: Arthura C. Clarke’a i Isaaca Asimova – ich notki są po prostu zamienione. Także zdziwiło mnie nazwanie Jacka Fedorowicza Andrzejem Zaorskim czy podwójny „Tolkiem” w nazwisku J.R.R. Tolkiena. Niedokładne sprawdzenie, co tak naprawdę pokazuje zdjęcie. Pod jednym z takich zdjęć czytamy, że Telewizję Młodych

Kosmonautów odwiedził Mirosław Hermaszewski, na zdjęciu zaś widzimy... Piotra Klimuka (dowódcę statku). Niestety, nie jestem aż tak kompetentny i nie mam aż tyle czasu, by sprawdzić wszystkie zdjęcia i zorientować się, czy aby nie są one pomyłone – ale specjaliści w różnych dziedzinach na pewno coś znajdą. Poza tym trochę razi mnie podawanie pełnych imion pierwszych i drugich, czasem nawet drugich nazwisk danych autorów, aktorów czy twórców. Ale żeby było śmieszniej – tylko kiedy o nim się osobiście wspomina. Jeśli pisze się o nim w jakimś kontekście – to występuje w spektaklu tylko Irena Kwiatkowska, a nie Irena Kwiatkowska-Kielska (jak w biograficznej notce). To wymienianie drugich i czasem trzecich imion służy, mam wrażenie, jedynie podkreśleniu ego autora – patrzcie: ja wiem, a wy zapomnieliście.

Nieczytelne, źle wydrukowane zdjęcia to jedno, pomyłone podpisy pod zdjęciami – to drugie. Często brak podpisów lub napisane są one w takiej formie, że stają się niezrozumiałe dla kogoś, kto akurat może znać słabo temat i chciałby się czegoś więcej dowiedzieć; obawiam się, że się szybko pogubi w niuansach, które ja – stary geek – jeszcze wyłapię, ale mój piętnastoletni bratanek już nie. A zaręczam, że tematem się trochę interesuję. I to jest dla tego tytułu kolejny zarzut. Niestety, jest to pozycja zbyt hermetyczna dla ludzi niepamiętających tamtych czasów.

A teraz, co do poszczególnych rozdziałów – no cóż, o wielu urządzeniach z tej książki dowiedziałem się po raz pierwszy, że w ogóle istniały. To znaczy: pewne nazwy obijały mi się o uszy, ale nie miałem pojęcia, jak wyglądały ich desygnaty. Gramofon „Bambino”, będąc dzieckiem, miałem przyjemność jeszcze używać (jako swój pierwszy gramofon na początku lat 70.), za to nie miałem pojęcia, jak wyglądała



tak zwana „Tonetka” i skąd się wzięła. Teraz wiem. I za to autorowi muszę podziękować! Nie mam zastrzeżeń do rozdziałów o Teatrze Telewizyj, a szczególnie do telewizyjnej fantastyki i Kobry; choć żał, że i tu pojawiają się błędy – Dona Anselmo – starzejącego się mafiosa – grał w spektaklu *Selekcja* Andrzej Szalawski, a Henryk Talar grał postać Don Vitoria! *Milcząca gwiazda* w żadnej ze swoich wersji nie miała więcej niż 93 minuty, ale autor słyszał (bo nie sądzę, by widział) o wersji 130-minutowej! A taka wersja nigdy nie istniała. Jest mitem. Chylę głowę przed mrówczą pracą, pomimo błędów: tę książkę – z racji tego, że jest pierwszą tak szeroką próbą zagospodarowania tematu – trzeba docenić, choć z pewnym zgrzytaniem zębów.

A teraz chciałbym naprawdę zacząć się przyczepiać...

Zajmijmy się tym, czego sam byłem świadkiem i na czym się trochę znam, bo kojarzę to

z własnego życia. I w dodatku zacznijmy od tego, co może być istotne dla nas – Fandomu z Pomorza Gdańskiego.

Dziwi kompletne pominięcie Fandomu Gdańskiego. Cała działalność zostaje określona jednym zdaniem, że Fandom Gdański – to lata 90., więc właściwie poza tematem książki. Nie istniał, przynajmniej zdaniem Kreczmara, Collaps ani jego wydawnictwa. Nie zorganizowano w gdańskim Sobieszewie „Polconu” w 1989 roku. Wymienia się za to efemerycznie działający w Gdyni Stoczniowy Klub Fantastyki SF-2001, który zniknął szybciej, niż się pojawił. W ogóle wśród wymienionych nazwisk mniejszych i większych działaczy zupełnie pomija się choćby Krzysztofa Papierkowskiego czy Bogdana Gwozdeckiego.

Aha, wspomina się jednym zdaniem o Laps-Biaxie w 1985 roku i filmach na nim puszczonych. I to tyle, jeśli chodzi o Fandom Gdański.

W dziale poświęconym komiksowi, wśród rzeszy różnych klubowych wydawnictw, zapomina się o *Wampiurach* czy o wydanych własnym sumptem dwóch komiksach o Conan – choć samemu Conanowi i związanym z nim wydawnictwom poświęcono kilka niezłych akapitów, włącznie z wymienieniem kilku klubówek.

Kompletnie pomija się subkultury muzyczne oraz Jarocin, Rozgłośnię Harcerską i szaleństwo początków rock’n’rolla.

Autor zapomniał też o początkach mikrokomputerów w Polsce, giełdach komputerowych, demoscenie. Czy o polskich komputerach typu Meritum czy Elwro Junior.

Razi brak proporcji w przedstawianiu dzieł ważnych bardziej lub mniej (choć jest to rzecz względna). Podam przykład istotny. Serial *Kosmos 1999*, który był – ale to mogłem stwierdzić dopiero po latach – serialem, delikatnie mówiąc, „takim sobie”, jednak podczas swej pierwotnej emisji po prostu „rozwał system

i równał z glebą” umysły większości nastolatków w tamtej epoce. I to nie tylko chłopaków, ale też dziewczynek. Wiem to z własnego doświadczenia, gdyż przebywając na przysiółkowej prowincji, w małej wsi w dzisiejszym województwie świętokrzyskim, po emisji jednego z odcinków z wypiekami na twarzy wraz z moimi dwoma kuzynkami i przy pomocy umiejętnie zbitych przez mojego wujka kilku patyków, odgrywaaliśmy co bardziej pamiętne sceny z dopiero co obejrzanego odcinka. Otóż temu właśnie serialowi, absolutnemu „must see” tamtej epoki, autor poświęca dwie, w dodatku mało pochlebne, kolumny. Za to serialowi czeskiemu *Arabela*, który był... no, przyjemną opowieścią dla dzieci, temu właśnie dziełu poświęca ponad trzy strony plus duże zdjęcie! I chwalcę go w niebogłosy! Nie mówię, że *Arabela* nie była fajna i przyjemna – ale czy aż tak istotna? Jeszcze na marginesie *Kosmosu* – autor myli się, twierdząc, że sezon drugi filmu można było zobaczyć dopiero w latach dziewięćdziesiątych, gdyż dobrze pamiętam, że pokazywano go ciągiem do samego końca (być może pomijając odcinek lub dwa); w drugiej serii, zamiast gładzącego Doktora, pojawił się przystojny Tony – i do obsady dołączyła Zmiennokształtna Maya!

I na koniec zostawiam rzecz przykrą. W chwili, kiedy zacząłem robić riserch dotyczący książki,

dowiedziałem się, że jej autor postępuje mocno „nie fair”, gdyż z dużym lekceważeniem podchodzi do cudzej własności intelektualnej i związanych z nią praw.

Dotarłem do autora strony starwarsy.pl, który stwierdza wprost, iż Tomasz Kreczmar – bez choćby zapytania o zgodę – „pożyczył” sobie całą galerię zdjęć i opisów w części dotyczącej figurek poświęconych tej sadze. Zarówno polskich, jak i zagranicznych. A na prośby autora o choćby wyjaśnienie, dlaczego to robi, nie raczy nawet odpowiedzieć. Być może cała sprawa będzie miała dalszy ciąg już w sądzie.

A gdy się o tym dowiedziałem, spojrzałem jeszcze raz na zamieszczone w książce zdjęcia. Być może są one specjalnie takie „niewyraźne”, bo są „pożyczone”? Przynajmniej większość zdjęć autorów i twórców – to pożyczki z Wikipedii. Może reszta też? Kto wie...

Brawa za trud i całość; niestety, cała sympatia ginie w szczegółach, braku solidnej korekty, redaktorskiego szlif – i po prostu braku rzetelności w wyszukiwaniu faktów.

Mam wrażenie, że wydawca chciał materiał „na już”, a autor po prostu nie był gotowy. Ale że było na „już” – to jakoś zebrał wszystko do kupy (bez odrzucenia rzeczy zbędnych i wyrównania proporcji, korekty, literówek) i puścił tak „bez składu i ładu”, na żywioł. Szkoda!

Mogło być wybitnie, a tak mamy taką dwójkę z plusem ■

FRASZKA?

z *Wampiurium*
masowa ucieczka
z wizami
od króla Ćwieczka



rys. Jan Plata-Przechlewski

MICHAŁ BLEJA

WSZYSTKO JUŻ SIĘ WYDARZYŁO

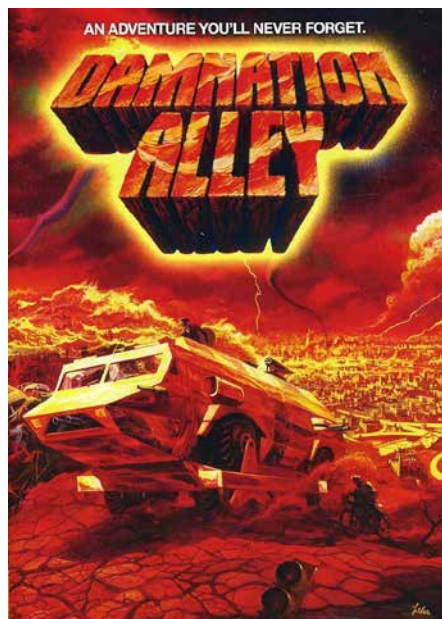
Lubię konwencję postapo. Za młodu godzinami tłułem w Fallouta, drugą część przeszedłem bodajże czterokrotnie. Uwielbiam klasyki typu Mad Max czy Ucieczka z Nowego Jorku. Zdarzało mi się grywać w postapokaliptyczne RPG-i w rodzaju After bomb madness czy Neuroshima. Tę ostatnią nawet kilkakrotnie prowadziłem. Z przyjemnością – choć uważam, że dla autorów mechaniki tej gry powinno się znaleźć specjalne miejsce w piekle.

Za początek tego nurtu zwyczajowo uznaje się *Aleję Potępienia* Rogera Zelaznego. Książki tej trudno nie uznać za kanoniczną. Mamy w niej do czynienia z ludzkością odbudowującą się po bliżej nieokreślonej katastrofie, a główny bohater to klasyczny amerykański badass, który zostaje wysłany z niezwykle ważną misją w niezwykle niebezpieczne miejsce. Każdy konsument fantastyki widział to setki razy.

Ostatni brzeg Nevila Shute również opisuje rzeczywistość postapokaliptyczną; robi to

jednak w sposób zupełnie inny niż ten, do którego jesteśmy przyzwyczajeni. Autor umieszcza swoich bohaterów w Australii oczekującej na chmurę radioaktywnego pyłu, będącego następstwem globalnego konfliktu nuklearnego. Tak się szczęśliwie dla Australijczyków złożyło, że rakiety spadły na inne państwa, więc koniec świata został w ich przypadku nieznacznie odroczony. Shute opisuje ostatnie miesiące australijskiej społeczności z perspektywy Dwighta Towersa – dowódcy amerykańskiego okrętu podwodnego. Okręt wraz z załogą przetrwał przez przypadek (akurat w chwili wybuchu konfliktu przebywał w rejonie oddalonym od największych eksplozji). Towers oddaje się pod dowództwo marynarki australijskiej, która siłą rozpędu prowadzi jeszcze jakieś działania, jednak bez większego przekonania. Radioaktywna chmura prędkiej czy później pokryje cały glob i wytepi ludzkość do zera. Naukowcy twierdzą, że to kwestia miesięcy. Towersowi i postaciom, które spotyka na swej ostatniej drodze, pozostaje tych kilka miesięcy przeżyć.

Ostatni brzeg to rzecz o ładnych parę lat starsza niż wspomniana już *Aleja Potępienia*. Nie ma tu popkulturowego efekciarstwa, akcja powieści toczy się leniwie, bohaterowie nie przeżywają pasjonujących przygód; chyba że uznać za taką niedoszły romans Dwighta Towersa z wiecznie pijaną Mojrą Davidson, poznaną podczas pierwszej wizyty na



australijskim lądzie. Książka jest głęboko refleksyjna, postacie interesujące i przekonująco skonstruowane. Tym, co moim zdaniem jest w niej najlepsze i najważniejsze, są sposoby radzenia sobie bohaterów z zaistniałą sytuacją; czy raczej nieradzenia sobie z nią – bo jak tu poradzić sobie ze świadomością, że w zasadzie jesteś już martwy?

Pomysł, na kanwie którego powstał *Ostatni brzeg*, uważam za genialny. Uważam też, że Shute świetnie wczuł się w swoje postacie. A jednak – jeśli mam być szczery – książka solidnie mnie znudziła, mimo niezbyt dużej objętości. Dlaczego? Otóż dlatego, że wszystko, co istotne dla fabuły, wydarzyło się, zanim zaczęła się opowieść. To interesujący zabieg – niestety, czyni historię zupełnie niewciągającą. Być może lepiej byłoby dla tego tekstu, gdyby autor ograniczył go do rozmiarów noweli, choć wtedy na pewno nie zyskałby takiego rozgłosu.

Po *Ostatni brzeg* sięgnąłem w dużej mierze dzięki tekstowi *Dwa końce świata* Rafała Śliwiaka, zamieszczonemu w "Nowej Fantastyce" 3/2021. Śliwiak pisze: „W okolicach Melbourne ludzie żyją starając się nie myśleć, że każdy dzień przybliża ich do tragicznego końca. Celebrytują każdą upływającą chwilę. Ci, którzy uważają, że dotąd żyli dobrze, nie zmieniają tego w ostatnich pozostałych im miesiącach. Nadal dbają o rodzinę, pracują, koszą trawniki i planują urządzenie ogrodu. (...) Tylko nieliczni Australijczycy poddają się rozpacz i tracą ducha". Cóż – nie podzielam zachwytu Śliwiaka postawą bohaterów *Ostatniego brzegu*. To, że (mimo nadchodzącej zagłady) próbują żyć jak zawsze – moim zdaniem nie jest celebracją, lecz wyparciem. Nawet sam Towers, skądinąd człowiek bezapelacyjnie odważny i wręcz patologicznie porządny, wypiera śmierć żony, przez co [spoiler alert!] nie dochodzi do skonstruowania znajomości z Mojrą. Osobiście



wolałbym ludzkość, która do końca się nie poddaje, rzuca wszelkie dostępne zasoby na choćby i beznadziejne projekty przetrwania. Wolałbym, żeby ludzie w obliczu apokalipsy wspólnym wysiłkiem zaczęli kopać w ziemi dziurę, w której mieliby choć ułamek szansy na przetrwanie. I wolałbym, żeby Towers zmierzył się ze śmiercią żony i przeżył w pełni tę ostatnią miłość, która mu się przydarzyła.

To, co bym wołał, w najmniejszym stopniu nie zmienia jednak faktu, że Shute trafnie ocenia ludzkość. Wystarczy rozejrzeć się wokół: choć od dekad wiemy o zbliżającej się katastrofie klimatycznej – dopiero od niedawna podejmujemy konkretne działania, żeby jej przeciwdziałać. Obawiam się, że gdybyśmy mieli kilka miesięcy, tak jak Australijczycy z *Ostatniego brzegu*, to tak samo jak im opadłyby nam ręce i nie podnieśliśmy ich przed upływem ostatecznego terminu ■

ARTUR ŁUKASIEWICZ

LEKSYKON SERIALI FANTASTYCZNYCH.

ROZDZIAŁ 0 (FRAGMENT SIÓDMY)

ANTOLOGIE

Jedna z najpopularniejszych form telewizyjnych pionierskich czasów tego medium. Oprócz relacji sportowych oraz programów komediowych i sitcomów – to najpopularniejsza formuła prezentacji dzieł dramatycznych. Od dzieł obyczajowych, romantycznych, po kryminał, tajemnicę czy horror. Antologia charakteryzowała się mocno sformalizowaną formułą. Najczęściej każdy odcinek miał swojego „hosta” – inaczej gospodarza programu. Był to znany aktor, producent lub reżyser filmowy, albo po prostu telewizyjny prezenter. Jego zadaniem było „wprowadzenie w tematykę kolejnego odcinka”. Po czym następowała właściwa (około dwudziestominutowa) opowieść, z jedną przerwą na krótki blok reklamowy. Po opowieści znów pojawiał się gospodarz, który w kilku słowach puentował obejrzaną historię i zapraszał na kolejny odcinek. Zdarzało się jeszcze na końcu przypomnienie roli sponsora programu - i odcinek się kończył. Taki program najczęściej trwał niecałe trzydzieści minut. Zdarzały się jednak wyjątki.

I. *Kraft Television Theatre*, NBC, pierwsza emisja 7 maja 1947 roku, koniec emisji drugiego sezonu 14 września 1949 roku.

Takim wyjątkiem była właśnie ta, uznawana za pierwszą i jednocześnie najdłuższą emitowaną, antologią telewizyjnego dramatu nadawana na żywo we wczesnych latach telewizji. Emitowana nieprzerwanie od 7 maja 1947 do 10 października 1958 roku. W tych latach *Kraft Television Theatre* zaprezentował ponad 650 komedii

i dramatów. Pod podobnym tytułem firma Kraft nadawała podobny program w latach 1961–1963; ale to temat na inną książkę. My jednak zajmiemy się tylko jej dwoma pierwszymi sezonami, gdyż takie mamy ramy tematyczne. Nie znaczy to, że interesująca nas tematyka nie zdarzała się częściej w jej historii. Wręcz przeciwnie. Jednak skupimy się jedynie na kilku odcinkach o wyraźnie fantastycznych konotacjach. Jest tego, o dziwo, całkiem sporo. Głównie to adaptacje sztuk lub znanych dzieł literackich, umiejętnie dopasowane do telewizyjnych ram. W dalszych rozdziałach podsumuję je wszystkie w specjalnym antologicznym dodatku.

Zapis kineskopowy był we wczesnych czasach telewizji traktowany nieco po macoszemu. Po kilkukrotnym wyemitowaniu programu – często był on niszczone, zamiast trafić do archiwum; a jeśli się zachował – to przypadkiem (bo komuś się zapomniało lub nie chciało z jakichś przyczyn zniszczyć zapisu). Musiało upłynąć kilka lat, zanim urosła świadomość tego, że mamy do czynienia z czymś niezwykle ważnym i istotnym dla historii.

Sezon I

• Odcinek 27:

On Stage – emisja 5 listopada 1947 r., 19:30–20:30

Dramaturgowie wydaje się, że jest gwiazdą jednej ze swych własnych sztuk. Jednak dzieje się coś dziwnego, gdyż niespodziewanie bohaterowie jego sztuki ożywają i przestają podążać za scenariuszem. Ba, zaczynają wygłaszać własne kwestie! Niestety, nie wiemy nic ani o obsadzie, ani o reżyserii czy autorze

scenariusza. Choć wydaje się ona mocno zbliżona do emitowanego wcześniej drugiego odcinka serii *Lights Out* – i całkiem możliwe, że autorami byli ci sami twórcy.

- Odcinek 29:

But Not Goodbye – emisja 19 listopada 1947 r., 19:30–20:30

Bohater sztuki, umierając, pozostawił po sobie długi i oszukał swojego partnera biznesowego, spowodowawszy po swojej śmierci masę kłopotów zarówno współnikowi, jak też rodzinie. Teraz wraca na ziemię jako duch – by naprawić to, co zepsuł za swojego życia.

Obsada: Charity Grace, Warren Parker, Hil-
dy Parks

- Odcinek 40:

Outward Bound – emisja 4 lutego 1948 r.,
21:00–22:00

Siedmioosobowa grupa pasażerów na statku nie ma pojęcia, w jaki sposób się tam znalazła, ani dokąd zmierza oceaniczny liniowiec. Próbuja sobie przypomnieć, co robili i gdzie byli przed tym, nim znaleźli w tym miejscu. W poczekalni pojawia się tajemniczy mężczyzna, który okazuje się być kimś w rodzaju Egzaminatora, przed którym owe osoby muszą zdać relację ze swojego życia. Uświadamiają sobie, że nie żyją, a w tej właśnie chwili stoją przed sądem ostatecznym – zaś rzeczony tajemniczy mężczyzna może zdecydować, czy znajdą się w Niebie czy Piekło.

Sztuka: Stunton Vane

Obsada: Charity Grace, Ralph Nelson, Vau-
ghn Taylor

- Odcinek 45:

The Wind is Ninety – emisja 10 marca 1948 r.,
21:00–22:00

Zestrzelony podczas wojny nad hitlerowskimi Niemcami Don Richie, kapitan Sił Powietrznych, wraca jako duch do rodzinnego domu, by pocieszyć pogrążoną w żałobie rodzinę. Odkrywa, że jego żona, matka, ojciec i syn pamiętają go



na różne sposoby. Początkowo nie jest w stanie się do nich „przebić”, ale potem rodzina wie-
rzy, że – gdy „na świecie wieje półwiatrem” ze
wschodu – Don jest z nimi duchem.

Scenariusz: Ralph Nelson

Obsada: Grant Calhoun, Dawid Frank, Gra-
ce Keddy

(Uwaga: ten odcinek był adaptowany po-
nownie i wystawiony 28 czerwca 1950 roku
w innej obsadzie, ale w tej samej serii!).

Sezon II

- Odcinek 9:

The Ivory Door – emisja 17 listopada 1948 r.,
21:00–22:00

Król, który ma się pobrać, przechodzi przez
drzwi swojego pałacu z kości słoniowej – pomi-
mo ostrzeżenia, że każdy, kto to robi, już nigdy
nie wraca. Kiedy wychodzi tajemnym przejściem
i wraca do miasta – nikt go nie rozpoznaje. Zo-
staje zamknięty w więzieniu jako uzurpator. To
samo dzieje się z narzeczoną króla, która tak
samo jak jej przyszyły mążonek postanowiła
przekroczyć zakazane drzwi. Oboje spotykają
się po raz pierwszy w więzieniu, gdyż wcześniej
nigdy się nie widzieli, ponieważ małżeństwo było
zaaranżowane i ma charakter czysto dynastyczny.
Czy uda im się pokonać przeciwności? Oparte
na dramacie A.A. Milne’go, twórcy znanego bar-
dziej jako autor *Kubusia Puchatka*.

Sztuka: A.A. Milne

Obsada: Jackie Cooper, Edith Haymann

- Odcinek 14:

Hansel and Gretel – emisja 22 grudnia 1948 r., 21:00–22:00

Oparte na baśni braci Grimm. Jaś i Małgosia zostają uwięzieni w uwodzicielsko udekorowanej chatce wiedźmy Gryzeldy, która chce dotoczyć Jaśka, bu upiec go jako pyszny piernik.

Obsada: Dean Mundy Bate, Sara Carter, Florence Forsberg, Billy McLockin, Marian Seldes, Genevieve Warner, Henry Wayne

- Odcinek 17:

Miranda – emisja 12 stycznia 1949 r., 21:00–22:00

Lekarz, zapalony wędkarz, podczas wjazdu nad kornwalijski brzeg zostaje złapany przez syrenę. Ona uwalnia go jednak, gdy on obiecuje jej pokazać życie w Londynie. Miranda, bo tak ma na imię syrena, jest bardzo atrakcyjną osobą. Aby ukryć, kim jest Miranda, zostaje ona ubrana w bardzo długą suknię i usadzona w specjalnym inwalidzkim wózku, wypełnionym wodą. Miranda zostaje przedstawiona żonie naszego bohatera, co w związku z syrenią naturą wzbudza wiele komplikacji w otoczeniu doktora Paula – gdyż każdy mężczyzna, który choć przez chwilę przebywa w jej otoczeniu, od razu się w niej zakochuje.

Obsada: Richard Kendrick, Betty Ann Nyman, Beverly Roberts

- Odcinek 18:

Duet for Two Hands – emisja 19 stycznia 1949 r., 21:00–22:00

Pianista stracił obie ręce w tragicznym wypadku. Szanowany chirurg dokonuje niemożliwego – wszczepiając niepełnosprawnemu muzykowi ręce niedawno powieszonego zabójcy. Nowe ręce muzyka przejmują jednak władzę nad jego wolą. Chcą – zamiast grać koncerty i recitale – zaciskać się na szyjach potencjalnych ofiar i je mordować.

Scenariusz: Mary Hayley Bell

Obsada: Valerie Cossart, Louisa Horton, Guy Spaul, Rod Walker

- Odcinek 21:

The Gramercy Ghost – emisja 9 lutego 1949 r., 21:00–22:00

Nancy Willard to bardzo atrakcyjna dziewczyna, która pracuje dla pewnego wydawcy oraz jest zaręczona z młodym i przystojnym Parkerem. Amelia, mająca ponad sto lat gospodyni i właścicielka wspaniałego i starego domu, niespodziewanie umiera – zostawiając jej w spadku całą swoją posiadłość. Jest tylko jeden problem, gdyż w rzeczonym domu zamieszkuje jeszcze jedna osoba. To duch, który nazywa się Nathaniel Coombes. Jest młodym i przystojnym żołnierzem rewolucji, który został napadnięty i zabity w 1776 roku, a teraz jest skazany na życie na ziemi za karę, ponieważ zapomniał przekazać bardzo istotną wiadomość George'owi Washingtonowi. Co zrobić, by pozbyć się z domu ducha oraz naprawić zagmatwane relacje między grupą załotników – która niespodziewanie pojawia się na wieść o całkiem sporym majątku (tym bardziej, że oficjalny narzeczony chyba traci głowę dla innej)?

Sztuka: John Cecil Holm

Adaptacja sceniczna: Robert Howard Lindsay

2. *Actors' Studio*,
ABC

- niedziele (od 26 września 1948 r. do 13 marca 1949 r.)
- czwartki (od 24 marca 1949 r. do 26 maja 1949 r.)
- środy (od 28 września 1949 r. do 26 października 1949 r.)

CBS

- wtorki (od 1 listopada 1949 r. do 31 stycznia 1950 r.)
- piątki (od 3 lutego 1950 r. do 23 czerwca 1950 r. – co dwa tygodnie)

Telewizja ABC postanowiła nawiązać współpracę z jedną z najbardziej znanych organizacji non-profit, zrzeszającą profesjonalnych aktorów i reżyserów, celem wyprodukowania i pokazania dzieł znanych autorów.

Wyprodukowano łącznie 56 odcinków w dwóch sezonach. Pierwszy odcinek nadano 26 września 1948 roku (ABC) zaś ostatni 22 czerwca 1950 roku (CBS). Serial podczas emisji drugiego sezonu przeniósł się ze stacji ABC do CBS. Stopniowo też prawdopodobnie tracił na popularności, gdyż z cyklu tygodniowego przeszedł na dwutygodniowy, po czym został odwołany. Nas na chwilę obecną interesuje jedynie pierwszy sezon. Jedynie kilka odcinków zahacza o tematykę fantastyczną.

Sezon I

- Odcinek 6:

The Inexperienced Ghost – emisja 31 października 1948 r., 20:30–21:00

W męskim klubie jeden z jego członków opowiada dziwną historię o młodym, niedoświadczonym duchu, który zabłąkał się w budynku klubu. Twierdzi, że dzięki jego inicjatywie i podpatrzonym gestom pomógł duchowi wrócić w zaświaty. Spotyka się ze sceptycznymi uwagami swoich kolegów. Postanawia więc powtórzyć widziane gesty – żeby udowodnić, iż przeniesienie się w zaświaty jest możliwe.

Obsada: Lou Gilbert, Dennis King, Rex O'Malley

Na podstawie opowiadania Herberta George'a Wellsa.

- Odcinek 11:

The Night The Ghost Got in – emisja 5 grudnia 1948 r., 20:30–21:00

Dziwne i niesamowite wydarzenia późną nocą w posiadłości państwa Turberów powodują splot przedziwnych wydarzeń – zakończonych próbą zabójstwa policjanta przez przerażonych nocną wizytą członków rodziny.



Wszystkiemu winien jest grasujący w posiadłości duch; a może to tylko złudzenie?

W roli głównej: Nydia Westman

Na podstawie komediowego (na poły autobiograficznego i fantastycznego) pamiętnika Jamesa Turbera zatytułowanego *My Life and Hard Times*

- Odcinek 24:

Joe McSween's Atomic Machine – emisja 6 marca 1949 r., 20:30–21:00

Joe McSween jest pracownikiem fabryki, a w domowym zaciszu (konkretnie w piwnicy) buduje tajemniczą maszynę. Maszyna, o dziwo, nic nie robi – po prostu działa. Nie wiadomo, co ją zasila. Joe nieopatrznie chwali się swoim dziełem. Cała społeczność przekonana jest, że jest to maszyna działająca za pomocą energii atomowej. W końcu sprawa trafia do władz, a sam jej twórca ma duże kłopoty.

Rok później dokonano reinscenizacji tej historii z nieco zmienioną obsadą i dla innej telewizyjnej stacji, ale wciąż w ramach tej samej antologii.

Autor: Richard P. Gehman

adaptacja telewizyjna: Michael Zeamer

reżyseria: Alexa Segal

producent: Donald Davis

występują: Martin Balsam, Jo Van Fleet, Nancy Franklin, Don Hanmer, Konrad Janis, NP. Marshall, Bob McNamara, Ray Montgomery, Lenka Peterson, William Redfield, David Stewart ■

[ciąg dalszy w numerze #394]

ARTUR ŁUKASIEWICZ

„SZUM TŁA I WZRUSZENIE RAMION” – CZYLI „PAN SAMOCHODZIK I SZNUREK DO SNOPOWIĄZAŁEK”

Pan Samochodzik i templariusze to nie jest film dla mnie – zrozumiałem to dopiero po dłuższych przemyśleniach. Ale nawet po długim biciu się z myślami nie jestem w stanie stwierdzić: dla kogo jest ten film?

Przeczytałem kilkadziesiąt wynurzeń podobnych do mnie osobników, u których ten film wywołał zazwyczaj potworną konfuzję oraz – co za tym idzie – nieprawdopodobną ilość hejtu.

Bo film całkowicie i dogłębnie zrywa z konwencją, do której przyzwyczał nas ciąg kilkunastu powieści Zbigniewa Nienackiego. Tak jakby ktoś postanowił, że zrobi dokładnie odwrotnie niż chciał Nienacki. Miły, trochę mizoginiczny pan Samochodzik – to bach, zróbmy z niego zadufanego w sobie dupka. Samochód był może brzydki, ale miał zajebisty silnik i pływał jak amfibia – zróbmy z niego skrzyżowanie Fiata 125 i tarpana, a w dodatku kompletnie nie wykorzystajmy jego możliwości.

Przewróćmy zupełnie fabułę samej powieści będącej pierwowzorem filmu, zostawmy dosłownie parę lokacji, kilka nazw, dodajmy fantastyczne zakończenie – które, że tak prosto i dosadnie określe, z „dupy jest” i nijak nie pasuje do reszty, zostawiając nas, widzów, w kompletnej rozsypce.

OK! Jestem na tyle rozsądny, by kupić słowa o „zmianie wizerunku”, zmianie mentalności, innych czasach. Ale zamiast sprawnie przyrządzonego dania, które można jakoś skosztować, dostajemy niedogotowaną rąbankę zmieloną z przysłówiową psią budą.

No, trzeba przecież coś zmienić, uczynić bardziej strawnym dla „światowego widza”, tak by jak najbardziej przypominał

„amerykański produkt”. Niezrozumiała obsesja na punkcie dopasowywania wyglądu i stylu do podobnych amerykańskich produktów wytwarzanych dla Netflixa. Nie macie wrażenia, że lata siedemdziesiąte, w których toczy się akcja naszego filmu*, za bardzo przypominają „lata siedemdziesiąte na świecie” niżli nasz zgrzebny PRL? Zauważyliście potężną nadwyżkę samochodów europejskich nad pocziwymi syrenkami, warszawami czy moskwiczami i trabantami w Polsce? Gdyby takie zachodnie samochody stały choćby przez chwilę na ulicy – szybko otaczałby je „wianuszek gapiów”, którzy zwykle obserwowali każdy taki zaparkowany pojazd. A jak zgrzebnie pudełkowo wygląda wygenerowana komputerowo ówczesna Warszawa?

Harcerze, część integralna sporej liczby powieści, służący zwykle (za zgodą rodziców) pomocą Panu Tomaszowi – tu po prostu są grupką uciekinierów z obozu harcerskiego, który przypomina raczej zbiorowisko napaakowanych hormonami małych żołdaków niżli harcerski obóz. W dodatku przez większość czasu nikt ich nie szuka; zaś dorośli ich obecność i brak jakichkolwiek rozsądnych wyjaśnień co do powodu ich obecności w zabawie w „poszukiwanie skarbów” biorą po prostu

* Akcja czterech (a chyba nawet pięciu) pierwszych tomów powieściowego *Pana Samochodzika* toczyła się jeszcze w latach sześćdziesiątych; *Templariusze* zaś byli tomem drugim /red./.

za dobrą monetę. Są? To świetnie! Kiedy jednak rozsądek zaczyna wracać z zaświatów – milicja jest niczym dziecko zgubione we mgle, ba: potrafi dać się zamknąć w areszcie Adiosowi i jego kilku napakowanym kolegom.

A w ogóle ów czarny charakter naszej opowieści zasługuje na oddzielny akapit. To ktoś z Argentyny, o nieznanym imieniu i nazwisku, a pseudonimie „Adios”, o iście kreskówkowym zarysie – o kim nie wiemy nic interesującego i, nie miejmy złudzeń, niczego się konkretniejszego nie dowiemy. No z wyjątkiem tego, że skarb Templariuszy ma wskreszyć jego zmarłego syna. I – choćby nie wiem, jak bardzo absurdalnie by to brzmiało – owo skrzyżowanie Szpiega z Krainy Deszczowców, Zorra i Rumburaka święcie w to wierzy. I mimo tego, że (jak twierdzi szefowa pana Tomasza) ma on już kilka ofiar na sumieniu (muzealników, poszukiwaczy skarbów), a nawet jesteśmy świadkami popełnienia przez niego kolejnej zbrodni – pies z kulawą nogą go nie szuka. Swobodnie porusza się po naszym „kolorowym PRL-u”. Nie szuka go porucznik Borewicz, nie próbuje nawet zlokalizować porucznik Jaszczuk. Nikt. Koleś to pojawia się sam, to w towarzystwie kilku napakowanych osiłków (nieznanego pochodzenia Polaków? Argentynczyków?). Strzela, bije, morduje swobodnie i bezkarnie.

Rodzina Petersenów. Brodaty konkurent i jego córka – kobieta-cyborg w uniformie wprost z podróbki *Matrixa*. Żadnej, nawet odrobiny chemii, wykastrowany do cna wątek, który w powieści był niejako główną osią całej fabuły, tu błąka się niczym niechciany bękart, z którym scenarzysta nie za bardzo wiedział, co zrobić.

W zamian jako główną oś fabularną dostajemy rozpaczliwy wątek wciąż istniejącego plemienia Jaćwingów i ich przywódczyni Łajmy; którzy przypominają quasi-hipisowską



Maria Dębska jako Karen Petersen, *Pan Samochodzik i templariusze*, reż. Antoni Nykowski, Polska 2023, Netflix

komunę, a raczej, żeby być uczciwym, jakąś słabowitą grupę rekonstrukcyjną, która pojawia się ni z Gruchy ni Pietruchy. I to owa Jaćwingowa ferajna jest motorem napędowym całego tego – skleconego naprędce i związanego poszukiwanym w PRL-u sznurkiem do snopowiązałek oraz sklejonego ślina i plasteliną do kupy – czegoś, co ma przypominać film przygodowy.

I niech mnie tu teraz wszyscy zlinczują, ale podam powód całej tej afery. Ów skarb Templariuszy to... dzieci posiadające moc uzdrawiania lub niszczenia (w zależności, w jaki sposób zostaną zmanipulowane). Strzelają promieniami niczym zawodowi X-meni. A cała zabawa w poszukiwanie skarbu kończy się znalezieniem pergaminu, na którym spisano dalsze losy dzieci – i ma to pomóc Łajmie w znalezieniu ich potomków.

Bo na końcu, kiedy zły „Adios Companeros” ginie, kiedy Karen z *Matrixa* też ginie (nie wiadomo po co się pojawiła i po co

zginęła – tak na marginesie), pojawia się Łajma i chce dostać pergamin.

I tu rodzi się całkiem logiczne pytanie. Skoro ona wiedziała, gdzie jest skarb (bo ewidentnie wiedziała, skoro nikt jej nie informował o poszukiwaniach, a bez trudu odnalazła grupę poszukiwaczy) – to czemu sama nie skrzyknęła sześciu zaufanych i sobie tego skarbu sama nie znalazła? Czemu naraziła ludzkie życie (Karen była jaka była, ale mogła żyć...)? Przecież to „gupie” jest.

Zresztą głupot jest w tym dziurawym scenariuszu sporo. Może dla przykładu omówimy tylko jedną początkową sekwencję scen.

Pomijając to, że Pan Tomasz leje się niczym James Bond, używa wytrychów, niszczy mienie – to trafia na latarnię morską w Lipawie, gdzie dzięki ustawieniu odpowiednio luster udaje mu się skierować promień w stronę... zrujnowanego dawnego rosyjskiego bunkra, który z nocej perspektywy wygląda jak tajemnicza wyspa. Na niej rosyjscy żołnierze podobno ukryli tajemniczy krzyż, o który tu się rozchodzi. O, myślę sobie, pachnie na kilometr Indianą Jonesem, ale wysepka wygląda smakowicie, będzie można poszaleć. Adios zostaje na pewien czas wyeliminowany. W pościgu do skarbu zostają jedynie pan Tomasz i Brodaty Petersen.

Pan Tomasz, dzięki swojemu pływającemu samochodowi, przechytrza Petersena i płynie w stronę wyspy. Ale – wcale do niej nie dopływa... Po prostu w pewnym momencie drogi, ot tak, skacze do wody, bez jakiegokolwiek sprzętu do nurkowania i za chwilę – wyciąga z wody pokryty trochę mułem, trochę wodorostami – krzyż!

Ja wiem, to nie jest film dla mnie, gościa z jako takim przeciętnym rozumem – ale zaraz, zaraz... Tak po prostu? To po co była ta cała

latarnia? Te całe bójki i ten pościg dwóch samochodów? Przecież, skoro ta wysepka była nieistotna – to wystarczyło od razu udać się w jej okolice i wyłowić krzyż, czyż nie?

No dobrze, zostawmy mnie, może ja chcę za dużo. Może to film przeznaczony nie dla mnie, wychowanego na Nienackim, ale dla widza zachodniego – tego, co to zobaczy ten film w USA, Anglii czy Górnej Wolcie? On nie musi znać książkowych niuansów.

Na IMDB film ma raptem 4,3/10; ale tutaj działa jeszcze coś takiego, jak grupka wkurzonych Polaków, którzy, znając angielski, w imię jakiegoś dziwnie pojętego interesu, próbują hejtować film argumentami typu: „Nie oglądajcie, bo to złe jest i już!”. Coraz częściej łapię się na tym, że jest to typowo polskie zjawisko, bo nie ma to, jak bezinteresownie przywalić jak Polak Polakowi, często nie mając sensownych argumentów w zanadrzu.

Na Roten Tomatoes film ma jedynie 30% pozytywów – cztery recenzje i każda z nich bezlitośnie chłoscze to filmowe dzieło.

Przejrzałem dziesiątki recenzji z różnych krajów i nigdzie zachwytów nie ma. Piszą o próbie pogodzenia *Indiany Jonesa*, *Jamesa Bonda* i *The Goonies* – ale nieudanej. W końcu pada porównanie, że jest to aktorska wersja słabej kreskówki dla mało wymagającej dziecięcej widowni.

I chyba tu tkwi sedno tej produkcji. Osoby w wieku, w którym zaczynają się kształtować pierwsze symptomy krytycyzmu, na dłuższą metę nie będą w stanie zaakceptować bałaganu, dziur logicznych i płaskich niczym spokojna tafla jeziora emocji w dziele, w którym powinien panować sztorm i powinny nami kołysać wzburzone fale. Dostajemy bezbarwny i nieangażujący szum tła ■

TOMASZ „QRATOR” MAGULSKI

Z LASU DO WODY

Kilkanaście lat przyszło nam czekać na zapowiadaną kontynuację Avatara – filmu przełomowego nie tylko w zakresie techniki montażu oraz kreacji efektów specjalnych. Przecudnie wykreowana wizja hipotetycznej planety Pandora – której mieszkańcy (nazywani Na'vi) żyją w jedynej w swoim rodzaju ekologicznej symbiozie z planetą – zauroczyła widzów na całym świecie. W 2022 roku doczekaliśmy się dalszego ciągu przygód naszych bohaterów. Film Avatar: Istota wody to dzieło wyjątkowe i godna kontynuacja, ale po jego obejrzeniu został mi pewien niedosyt.

Dla jasności: film jest świetny, aktorzy znakomici, fabuła interesująca i wciągająca – jednak to oszałamiające pierwsze wrażenie można było zrobić tylko raz. Pierwszy *Avatar* w 2009 roku oczarował nas całą masą nowatorskich rozwiązań wizualnych na niespotykaną dotąd w kinematografii skalę, co razem złożyło się na niesamowity spektakl. Przyznam, że podświadomie czegoś podobnie przełomowego oczekiwałem po kontynuacji. Apetyt zaostrzały mi informacje, że tym razem z dżungli przeniesiemy się na morskie wybrzeże i poznamy całkowicie inny – wodny – ekosystem planety. Tak w istocie się dzieje; lecz nie towarzyszą temu nowe przełomowe pomysły reżyserskie ani też efekty specjalne. Owszem, widać postęp – ale takiego zaskoczenia, takiego efektu „wow,” jaki był podczas premiery pierwszego *Avatara*, nie doświadczamy. To jedyna rzecz, która odrobinię mnie rozczarowała.

Po zwycięstwie i wypędzeniu zachłannych ziemskich najeźdźców – leśne plemię Omatikaya zamieszkujące planetę o nazwie Pandora żyje spokojnie, w zgodzie z naturą. Nie dane im jednak będzie cieszyć się spokojem i bezpieczeństwem zbyt długo. Ludzie tak szybko nie odpuszczają. Pandora i jej bogactwa są zbyt łakomym kąskiem. W tak zwanym międzyczasie dwójka naszych bohaterów – Jake Sully (Sam Worthington) wraz ze swoją żoną

Neytiri (Zoe Saldana), staje się nie tylko przywódcami plemienia, ale także rodzicami. Mają dwóch synów: Neteyama (Jamie Flatters) oraz Lo'akiego (Britain Dalton), córkę Tukirey (Trinity Jo-Li Bliss) oraz zaadoptowaną córkę Kiri urodzoną z awatara dr Grace Augustine (Sigourney Weaver). Jest jeszcze ludzkie dziecko o przezwisku Pająk (Jack Champion), żyjące razem z rodziną Jake'a i Neytiri, którego pochodzenie jest zagmatwane i mocno niejasne.



Mamy więc całkiem liczną, patchworkową rodzinę.

Spokojne życie plemienia zakłóca nagłe pojawienie się ludzi, którzy kolejny raz postanawiają podporządkować sobie planetę wraz z jej kruchym ekosystemem oraz spacyfikować (a najlepiej zniszczyć) społeczność Na'vi. Najeźdźcy budują nową bazę, po czym za pomocą nowego, dużo bardziej wydajnego, sprzętu rozpoczynają rabunkową eksplorację Pandory. Wykorzystują do tego także najnowszy cud technologii tzw. rekombinatów. Są to awatary Na'vi, którym wszczepiono pamięć żołnierzy marines – także tych, którzy kiedyś służyli i zginęli na Pandorze. Dowódcą rekombinatów zostaje awatar, który został wyposażony w pamięć pułkownika Milesa Quaritcha (Stephen Lang). Pamięta on, w jakich okolicznościach zginął – i z czyjej ręki. Postanawia więc wyrównać rachunki z Jake'm i jego rodziną. Tak więc nowe, diaboliczne, wcielenie pułkownika Quaritcha szybko przechodzi do konkretów.

W zetknięciu z potęgą ludzkiej technologii plemię Omatikaya nie ma żadnych szans. Jake Sully zrozumiał to bardzo szybko. Rozumie także, że ludzie i rekombinaci nie spoczną,

dopóki go nie dopadną. W trosce o bezpieczeństwo klanu oraz swojej rodziny postanawia uciec i zaszyć się gdzieś w bezpiecznym miejscu. W ten sposób wraz z rodziną dociera nad brzeg morza, do wodnego klanu Metkayina, na którego czele stoją waleczna Ronal (Kate Winslet) oraz jej małżonek Tonowari (Cliff Curtis).

Wraz z przeniesieniem akcji nad morski brzeg – ukazuje się nam zupełnie inny świat planety Pandora. Powoli zagłębialmy się i poznajemy zasady funkcjonowania wodnego ekosystemu planety. Jej mieszkańcy przez wieki stworzyli odrębną od leśnej, wodną cywilizację, która na swój sposób zintegrowała się z planetą oraz wodnymi i wodno-lądowymi stworzeniami. Nawet fizycznie członkowie plemienia Metkayina różnią się od leśnego plemienia Omatikaya. Wodny tryb życia wymusił takie adaptacje, która ułatwiają m.in. szybkie pływanie, długie wstrzymywanie oddechu pod wodą oraz umiejętność porozumiewania się z wodnymi stworzeniami. Powoli jesteśmy wprowadzani w ten świat. Jego odkrywanie to ogromna przyjemność. Na dodatek, dzięki magii kina, możemy towarzyszyć naszym bohaterom także pod wodą – a ujęcia

Avatar. Istota wody; reż. James Cameron, USA 2022, Disney+





Avatar. Istota wody; reż. James Cameron, USA 2022, Disney+

te są fenomenalne. Podkreślić należy, że spora część tych scen nie jest produktem efektów specjalnych i symulacji komputerowej: w wielu z nich aktorzy grali osobiście, w specjalnie do tego celu przygotowanych basenach.

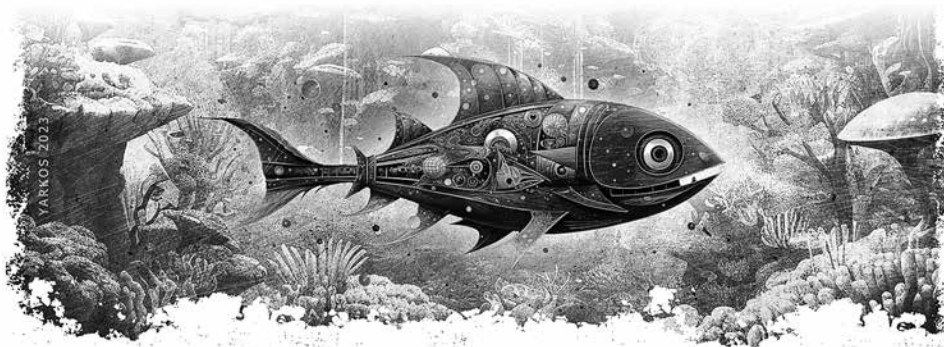
Trochę mnie dziwiło, że stosunkowo dużo czasu poświęca się na pokazanie perypetii i rozterek moralnych najmłodszych bohaterów. Przez to film staje się trochę opowieścią rodzinną. Na ekranie obserwujemy dorastających młodych ludzi (tak ich można przecież nazwać) oraz ich zawiłane relacje z rodzicami. Obserwujemy także problemy nastolatków z rówieśnikami, pierwsze zauroczenie płcią przeciwną, młodzieńczą brawurę oraz chęć zdominowania i podporządkowania sobie grupy rówieśniczej. Miałem wrażenie, że momentami niepotrzebnie tyle czasu poświęcane jest mało istotnym wątkom, które w zasadzie

nie wnoszą niczego do głównej akcji filmu. Zaczęłam jednak uświadamiać sobie, że przecież reżyser ma rozpisany scenariusz i przygotowuje łącznie pięć części *Avatara*. Być może coś, co w *Istocie wody* może wydawać się zbędne i niezrozumiałe, okaże się w kolejnych filmach kluczowe. James Cameron to w końcu fachowiec pierwszej (nomen omen) wody!

Koniec końców – rodzina Sully'ego zadowala się w wodnym klanie Metkayina; tymczasem ludzie i rekombinaci wpadają w końcu na ich trop. Zatem konfrontacja jest tylko kwestią czasu... ■

Avatar: Istota wody (2022) –
film z platformy Disney+

[tytuł recenzji od redakcji INFO]



rys. Jarosław S. Kosiorek (Yarkos)

TOMASZ „QRATOR” MAGULSKI

NIEOBCE NIEBIESKIE LUDZIKI

Na bliżej nieokreślonej planecie, w bliżej nieokreślonym miejscu galaktyki, żyją niebieskie istoty o antropomorficznej budowie. Ich świat jest zdumiewająco podobny do naszego. To tylko sprytny wybieg. Tak naprawdę – na nasz świat i nas samych. Tyle, że w krzywym zwierciadle...

Serial *Nieobca planeta* (org. *Strange Planet*) w zabawny, prześmiewczy, momentami denerwujący – ale także ironiczny sposób – pokazuje nasze życie. Produkcja została stworzona na podstawie internetowego komiksu Nathana W. Pyle’a, który razem z Danem Harmonem jest także współtwórcą serialu telewizyjnego. Komiks podobno jest szalenie popularny w amerykańskich mediach społecznościowych (nie wiem, nie sprawdzałem) i jego sukces był zachętą do przeniesienia go do telewizyjnego formatu.

Nieobca planeta w humorystyczny sposób dokonuje wnikliwej analizy ludzkich zachowań, skupiając się przede wszystkim na wszechobecnej politycznej poprawności, problemach egzystencjonalnych – autentycznych

i wydumanych, wątpliwościach etycznych i moralnych oraz problemach w relacjach międzyludzkich. Tu ważna uwaga. Serial jest produkcją amerykańską, dlatego bierze na cel relacje, emocje i fobie charakterystyczne dla tej kultury. Różni się ona od europejskiej; ale (według mnie) jest to dodatkowy smaczek produkcji.

Kolejne odcinki, a jest ich w sumie 10, za punkt wyjścia mają jakieś banalne zjawisko, np. w relacji między rodzicem a dzieckiem, rodzicem a nastolatkiem, dwojgiem młodych osób mających trudność w wyrażeniu swoich emocji i nawiązaniu bliższych relacji z płcią przeciwną, relacji międzyludzkich w korporacji, itp., itd. Dla twórców serialu jest to punkt wyjścia, aby w krzywym zwierciadle (przy okazji doprowadzając błąh problem do granic absurdu) pośmiać się z nas samych. Absurd potęgowany jest przez specyficzny język serialowych bohaterów, którzy z jednej strony dążą do hiperpolitpoprawności, z drugiej zaś strony – używają definicji i pojęć, które są do bólu dośadne. Potęguje to wrażenie irracjonalności





rys. Piotr Dziewanowski (Kalmar)

KURNADO

KALMAR



Nieobca planeta; USA 2023, Apple TV+

problemów, z którymi borykają się owe niebieskie ludziki.

Oglądając serial, wiele razy miałem wrażenie, że (tak jak w powiedzeniu: „robić z igły widły”) banalne sytuacje rozdmuchiwane są do gigantycznych rozmiarów. Bohaterowie z niczego sami tworzą problemy, z którymi później bohaterstwo starają się uporać. Ostatecznie każdy odcinek kończy się pewnym morałem. Z jednej strony bardzo dobrze świadczy to o twórcach produkcji, którzy w ciągu kilkunastu minut (tyle trwa akcja poszczególnych odcinków) są w stanie pokazać, opowiedzieć i spuentować każdą historyjkę. Z drugiej strony – pozwala nam skonfrontować przygody serialowych niebieskich ludzików z naszą codziennością. Pewnie każdy znajdzie jakieś analogie.

Po obejrzeniu całego pierwszego sezonu *Nieobcej planety* naszła mnie ciekawa refleksja. Zdałem sobie bowiem sprawę, że już kiedyś miałem do czynienia z podobnym sposobem humoru. Przypomina mi on filmy fabularne Woody’ego Allena z lat 70. i początku 80. ubiegłego wieku. Humor nieoczywisty, podszyty

absurdem, budowany przede wszystkim za pomocą dialogów. Bez wizualnych fajerwerków oraz oszałamiającej zwrotami akcji fabuły. Serial animowany korzysta z podobnych narzędzi i z nich czerpie siłę. To powoduje, że *Nieobca planeta* jest produkcją biegunowo odmienną od widowiskowych filmów oraz seriali animowanych SF/fantasy. Tutaj ten cały „fantastyczny” anturaż jest bardzo powierzchowny i służy wyłącznie dowcipnemu przedstawieniu naszych zachowań i emocji.

Na obejrzenie serialu wystarczy poświęcić jeden, góra dwa wieczory. Warto jednak skoncentrować uwagę podczas seansu, ponieważ możemy stracić wiele ciekawych wątków i „smaczków” – a wtedy serial może wydać się nam nudny. Tymczasem produkcja ma nam do zaoferowania inteligentny humor oraz ironię, która zapewnia dużo dobrej zabawy ■

Nieobca planeta (oryg. *Strange Planet*)
2023 – serial z platformy Apple TV+

[tytuł recenzji od redakcji INFO]



rys. Jan Plata-Przechlewski



ANDRZEJ PRÓSZYŃSKI

MARTWE ZŁO WIECZNIE ŻYWE

Poprzednim razem pisałem o przedziwnej zbieżności fabuł dwóch filmów, które dzieli niemal trzydzieści lat. W tym odcinku odstęp jest równie solidny, za to przyczyny zgodności zupełnie oczywiste, gdyż chodzi o *remake* – i to nawet nie jeden, lecz aż dwa w odstępie dziesięcioletnim. Ale tu interesujące są nie tyle podobieństwa, co właśnie różnice.

Zaczął się od Sama Raimi, który w 1981 roku nakręcił *Martwe zło*, a sześć lat później jego wersję 2.0 pod nazwą *Martwe zło 2*. Oba filmy (a zwłaszcza ten drugi) zyskały status kultowych, tak jak i ich bezpośrednia kontynuacja, *Armia ciemności* (1992). W związku z tym rozpisywać się o nich nie zamierzam.

W latach 2013 i 2023 powstały dwie nowe wersje *Martwego zła*: pierwsza w reżyserii Fede Alvareza, druga Lee Cronina. Porównując je z pierwowzorami – zauważa się przede wszystkim nieobecność specyficznego czarnego humoru, charakterystycznego dla filmów Raimiego, poza kilkoma porozumiewawczymi mrugnięciami do widza. Obie wersje są natomiast pełnokrwistymi slasherami (zarówno w sensie przenośnym, jak i całkiem dosłownym), czerpiącymi obficie z pierwotnych, sprawdzonych pomysłów: takich jak choćby nieśmiertelna piła łańcuchowa kontra nawiedzona ręka. Tu warto zaznaczyć, że producentem obu filmów jest Sam Raimi, a także towarzyszący mu od początku serii Rob Tapert oraz Bruce Campbell, główny aktor oryginalnych wersji. Ten ostatni zagrał nawet epizodyczną rolę w filmie Alvareza, choć próżno szukać jego nazwiska w napisach końcowych (dlatego niektórzy twierdzą, że w nim nie wystąpił).

Akcja pierwszego filmu rozgrywa się, zgodnie z ustaloną tradycją, w domku w leśnej głuszy, który ma kłapę w podłodze zakrywającą zejście do piwnicy. Zaś w owej piwnicy, oprócz makabresek, spoczywa Księga. Tym razem nie ma magnetofonu, za to jeden z bohaterów, niejaki Eric, odczytuje głośno zaklęcie prosto ze źródła pisanego, nie bacząc na liczne ostrzeżenia wypisane wielkimi czerwonymi literami. Ewentualnym naśladowcom podpowiadam tekst kłótny: brzmi ona *Kunda Astratta Montosse Canda* (nie mylić z podwójnie kultowym zaklęciem *Klaatu Barada Nikto* z *Armii Ciemności* i pewnego wcześniejszego filmu). Desperatom życzę sukcesu w starciu z siłami wiecznie martwego zła.

Z kolei akcja drugiego filmu osadzona jest – o dziwo – nie w leśnym domku, lecz w przeznaczonym do rozbiórki wielopiętrowcu. Tu efekt izolacji bierze się z nawiedzenia windy i zawalenia schodów w wyniku trzęsienia ziemi... Księga zaś zostaje odnaleziona w dawnym schowku bankowym w towarzystwie trzech płyt gramofonowych, z których druga zawiera feralne zaklęcie. Autor nagrania kaja się z tego powodu na trzeciej płycie, a widzowi ciśnie się na usta pytanie: czemu, w takim razie, nie zniszczył drugiej płyty? Tymczasem odpowiedź jest banalnie prosta: bo wtedy nie byłoby filmu.

Z biegiem kolejnych ekranizacji złowroga Księga nabiera niesamowitości. Ta oryginalna, choć napisana krwią i oprawiona w ludzką skórę, z zewnątrz wygląda dość zwyczajnie, jak stary bibliofilski cymes. W filmie z 2013-go jest ona już opancerzona grubymi drutami, którymi można się skaleczyć, a trzeba dodać, że krew spija bardzo ochoczo. Dotyczy to też

najnowszej wersji, w której druty zmutowały w szpikulce kojarzące się z długą pazurami bądź kłami. Przy tym wygląda na to, że bez złożenia ofiary krwi tym ostrzom Księga nie da się w ogóle otworzyć.

Choć jest to mimo wszystko ciągle ten sam wolumin – jego nazwa zmienia się z ekranizacji na ekranizację. Raz zowie się *Necronomicon Ex-Mortis*, a innym razem *Naturom Demonto*. No i jest to podobno sumeryjska wersja skądinąd dobrze znanej Egipskiej Księgi Umarłych...

A może jednak (jak twierdzą niektórzy) to nie jedna, lecz dwie różne księgi?

Oba slashery zebrały całkiem przyzwoite oceny widzów, a za oceanem drugi z nich nawet wyższą niż oryginały. Z kolei zgoła rewelacyjny wynik osiągnął serial *Ash kontra martwe zło* (2015-18). Nic dziwnego: wszystkie 30 odcinków wyreżyserował Sam Raimi, a Bruce Campbell zagrał tytułową rolę. Sama radość – i tylko jeden mankament: nie wydano go u nas na DVD. No to ja grzecznie proszę, żeby ten co trzeba się obudził i nadrobił zaległości ■

Martwe zło (The Evil Dead), USA 1981,
Martwe zło 2 (Evil Dead 2), USA 1987

Armia ciemności: Martwe zło 3 (Army of Darkness: Evil Dead 3), USA 1992

scenariusz i reżyseria: Sam Raimi, obsada: Bruce Campbell jako Ashley „Ash” J. Williams,
oceny FilmWeb: 6,7; 7,2; 7,2, IMDb: 7,4; 7,7; 6,8

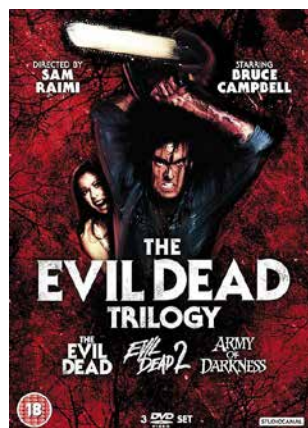
Ash kontra martwe zło (Ash vs. Evil Dead),
USA 2015–2018, ocena FilmWeb: 7,7, IMDb: 8,4

Martwe zło (Evil Dead), USA 2013, reżyseria: Fede Alvarez, scenariusz: Rodo Sayagues, Fede Alvarez, ocena FilmWeb: 5,7, IMDb: 6,5, czas: 1 godz. 28 min.

Obsada: Shiloh Fernandez (David), Jane Levy (Mia, jego siostra), Elizabeth Blackmore (Natalie, jego dziewczyna), Lou Taylor Pucci (Eric), Jessica Lucas (Olivia, dziewczyna Erica)

Martwe zło: Przebudzenie (Evil Dead Rise), USA 2023, scenariusz i reżyseria: Lee Cronin, ocena FilmWeb: 5,9, IMDb: 8,0, czas: 1 godz. 32 min.

Obsada: Alyssa Sutherland (Ellie, na plakacie), Morgan Davies (jej syn Danny), Gabrielle Echols (jej córka Bridget), Nell Fisher (jej córka Kassie), Lily Sullivan (Beth, siostra Ellie)



ALTERNATYWNY PROBLEM JĘZYKOZNAWCZO-FABULARNY

KWESTIA SYLABY

rys. Aleksandra Małaj (Olsza)

scen. Jan „PiPiDżej” Plata-Przechlewski

...MIESZKAŁ SOBIE PEWIEN RABBIT

KLAWO, PROFESORKU...
WŁAŚNIE PRZEROBILIŚ SHIRE
NA WODNIKOWE WZGÓRZE!



Dom Wydawniczy REBIS poleca serię „Wehikuł czasu”



Ostatni tom
wizjonerskiej serii,
kanonu literatury
science fiction



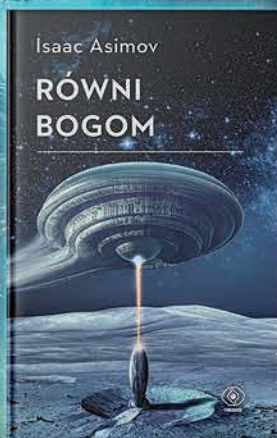
Klasyka fantastyki
postapokaliptycznej –
pierwszy raz w Polsce



Co czeka planetę,
na której każda żywa istota
doświadcza gwałtownego
rozwoju inteligencji?



*Najzabawniejsza powieść
science fiction, jaką
kiedykolwiek napisano –
Terry Pratchett*



Powieść wyróżniona
nagrodami Nebula i Hugo



Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.



www.rebis.com.pl



[FB/REBIS](https://www.facebook.com/FB/REBIS)

YARKOS 2023